WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

POCZET NOWY.

TOMIK TRZECI.

WILNO.

Józef Zawadzki własnym nakładem.

1836.

Dozwala się drukować, pod tym warunkiem, aby, po wydrukowaniu, trzy exemplarze złożone były w Komitecie Cenzury. Wilno 1836 d. 4 Czerwca.

Cenzor L. Borowski.

A L G E R.

STAN FIZYCZNY.

Alger, najpotężniejsza z posiadłości barbaryjskich, wzniesiona na szczątkach Maurów państwa, obejmowała całą północną część afrykańskiégo lądu leżącą między pasmem wielkiego Atlasu, 6° długości wschodniéj i 4° długości zachodniéj, wymierzonéj wedle południka paryzkiego, albo przestrzeń ziemi 240 mil długą, a 70 do 80 széroką.

Kraj ten przerżnięty jest w kierunku swojéj długości, to jest od wschodu na zachód dwóma pasmami bardzo wysokich gór, wielkiego i małego Atlasu; z tych jedno ciągnie się brzegiem wielkiéj pustyni Sahara, a drugie pilnuje się morza, nigdy od niego

więcéj nad ośm mil nie ustępując. To ostatnie, kilką jeszcze innych gałęzi w morze zachodzi i tworzy tam przylądki, które żeglarz zdaleka postrzega i wedle nich bieg swój prowadzi.

Rozmaite tych dwu pasm krzyżowanie się tworzy wielkie równiny i obszérne płaszczyzny, skrapiane rzekami różnéj wielkości i strumieniami którym całą swoję żyzność winny.

Ważniejsze płaszczyzny są: Konstantyna, o 20 mil w głąb kraju, Metidija, między pobrzeżem Algeru i małym Atlasem położona; trzecia, co się zaczyna nieco na zachód Metidii, a ciągnie się aż do Mostaganu; na koniec, wielka płaszczyzna Oranu w Telmecen, zamknięta między małém Atlasem i morzem.

Główniejsze rzeki są: Szetf, któréj sto mil biegu jeografowie naznaczają, początek bierze na północnéj pochyłości wielkiego Atlasu, a do morza wpada nie daleko Mastaganu, Med-żer, co przerzyna Metidiją w jéj zachodniéj części; Isser, co na wschód granicę téj płaszczyźnie czyni; nareszcie

Sejkuza, co blizko Bony ma swoje ujście; strumienie zaś są: Buži, złożony z dwu innych Aduzy i Adżebby; Konstantyna, w któréj łożu miano dopiéro odkryć djamenty. Co do głębokości wód, rzeki te nie dadzą się porównać z europejskiémi: zimą, czasu spływania śniegów, i po kilku dniach deszczu, przechodziłem Ued-żer po kamieniach jego koryta. Wszystkie te rzeki i wiele mniéj znacznych strumieni, przez czas całego roku wodę trzymają, ale strugi i ruczaje często latem wysychają, te zwłaszcza co w pewnéj od gór odległości płyną. Płaszczyzny mieszczą w sobie jeziora, stawy i bagna, których szkodliwe, czasu lata, wyziewy, zarażają niezdrowém powietrzem okolice. Dla tego w Metidii niektóre części téj płaszczyzny są wcale nie zamieszkane. W zachodniéj części téj płaszczyzny jest jezioro niezbyt obszérne, co nigdy nie wysycha, zaś blizko Oranu, znajdują się dwa takie, z których odleglejsze od miasta, daleko jest większe niżeli piérwsze, i oba te wysychają w lecie.

Cała ta część małego Atlasu którąśmy

przebiegli, składa się z wapnika gliniastego z marglem na przemian, a kształt gór pokazuje, że skały te rozciągać się muszą daleko na wschód i zachód. U południowégo podnoża tego pasma, znaleźliśmy gromadę wzgórków, złożonych z gliny i żwiru, które zdają się zajmować całą przestrzeń między dwóma Atlasami. Wzgórza podobnego rodzaju ciągną się bezprzestannie wdłuż morskiego brzegu, aż do wielkiéj na wschód i zachód odległości od Algeru a znajdują się w okolicach Oranu i na pobrzeżu aż do sześciu mil przeszło na zachód tego miasta.

Grunt równin i cale większéj części płaszczyzn, pochodzi z pierwiastku napływów, złożonego z warszt gliny, często bardzo miąższych i wytaczanych kamyków. Gdzie nie gdzie są piaszczyste plosy, zwłaszcza blizko morskich brzegów, gdzie często piaski wzgórzami stoją.

KLIMAT.

Chociaż temperatura posiadłości Algeru jest bardziéj podniesiona niżeli na którym

bądź brzegu południowym Europy, klimat wszakże jest dość umiarkowany, śrzednia wysokość termometru jest 18°; w największe lata upały nie podnosi się więcéj nad 34°; wyjąwszy przypadek południowych powiewów, w których do 38° się podnosi, upał w ów czas jest nieznośny i oddychać trudno. Zimą, na płaszczyznach i wzgórzach na południe małego Atlasu położonych, nie ma nigdy ostrego chłodu. Raz tylko zdarzyło mi się widzieć termometr 1° więcéj zera, w dniu kiedy była Metidija śrzonem pokryta. Przez cały czas mojego w Algerze pobytu, nigdy się w okolicach Algeru i Oranu na lód nie zebrało, lecz nieraz widzieliśmy Atlas śniegiem pokryty, i żołnierze nasi podczas kiedy Medeję zajmowali, po lodzie przebywali niektóre błota w okolicach miasta tego położone.

Zima albo pora słót, zaczyna się ku połowie listopada i trwa do piérwszych dni stycznia, nie bez tego wszakże, żeby na pewnéj przerwie kilka jasnych dni nie przypadło. Przed 15 tego miesiąca, zieloność,

co ledwie w połowie grudnia znikła, ożywia się, drzewa i krzewy pokrywają się liściem i kwiatem, które wonią przejmują powietrze. Łagodne ciepło słońca, czuć się już dające, w samo południe, przechadzek dozwala; jedném słowem, koniec miesiąca stycznia jest tak przyjemny jak miesiąc maj w okolicach Paryża. Gwałtowne jednak deszcze i burze, niekiedy jeszcze ziemię zlewają i zmuszają Arabów i Barbaryjczyków do swoich wracać chałup; w czerwcu zaś, słońce już znowu jest w swojéj sile, deszcze ustają, trawy więdnieją, żniwa dojrzewają i winna latorośl gronami się obciąża.

W piérwszych dniach lipca, morele żółknieją, grona winne dójrzewać poczynają; dzikie pomarańczowe drzewa, które przez całą zimę kwiat i owoce trzymały, pokrywają się mnóztwem zielonych pomarańczy, które przed końcem listopada dójrzewają.

W sierpniu, upały dochodzą swego najwyższego stopnia. Trawy wygorzałe znikły już zewsząd prawie; błotniste miejsca wydają w ów czas mefityczne wyziewy, szko-

dliwe bardzo mieszkańcóm sąsiednich okolic. W tym miesiącu gorączki endemiczne są najstraszniejsze i najłatwiéj imają się żołnierzy francuzkich. Od piérwszych dni września, upały już są znośniejsze. Październik jest bardzo przyjemny, chociaż dość często termometr do 24° się podnosi.

Pogoda trwa zwykle do połowy listopada, odtąd zaś wiatry północno-wschodnie czuć się dają i zima nastaje. Dwa te wiatry najczęstsze są ze wszystkich tych, które na barbaryjskich brzegach panują; sprowadzają one deszcze, burze i odświeżają powietrze. W zimie to, są one najpospolitsze i najstraszniejsze; napędzają gwałtownych nawałności, które gruchocą okręty w porcie algerskim i na brzeg wyrzucają te, które nie miały czasu na pełne wyjść morze. W takich chwilach zaburzenia powietrza, Barbaryjczykowie i Araby idą w wielkiéj liczbie nad brzeg morza czekać, azali okręt jaki na skałach się nie rozbije, żeby go złupić i wymordować nielitościwie wszystkich co na nim się znajdują.

Wiatr południowy, który Arabowie *semum*, a Algerczykowie *betsz* nazywają, straszny jest bardzo; okropne jego na pustyniach skutki, opisało wielu wędrowników którzy ich doznali. Arabowie, według ich powieści, obwijają sobie głowy burkami i kładną się twarzą do ziemi, oddychając najrzadzéj jak można; wielblądy panów swoich naśladując, klękają jak dla ojuczenia i szyję wyciągają, starając się nozdrze swoje w piasek zanurzyć. Na pobrzeżu Algeru, *semum* objawia się duszącym upałem i gęstym czérwonym tumanem, który się po całém pasmie Atłasu czepia; termometr podnosi się nagle na 8° do 10°. Maurowie zamykają się w swych domach; Arabowie namioty swoje porzucają, żeby się schronić w krzaki lub pod drzewa, gdzie świéższe jest powietrze niżeli pod témi włosienicami wielbłądziemi; każdy powiéw wiatru jest tchnieniem gorąca jakby z rozpalonego pieca. Oddychanie staje się niezmiernie trudném, zdéjmują bole głowy i ociążałość w całém ciele; na koniec po kilku godzinach, człowiek czuje się jakby

do stanu nicości doprowadzony. W pustyniach *semum* zabija często i ludzi i koni w znacznéj ilości.

Burze rzadsze są na północnym brzegu Afryki niżli w naszych stronach; ale wypadają z gwałtownością nadzwyczajną: ćmiące błyskawice przerzynają powietrze we wszystkich kierunkach, piorun grzmi ze straszliwym łoskotem, strumienie deszczu zalewają ziemię, pola pustoszą, zabijają źwierzęta, a w kilka godzin poźniéj, słońce wszelką wyparza wilgoć i innego burzy nie zostaje śladu jedno pokłady piasku i żwiru zniesione na grunt równin i głębią dolin, drzewa powywracane, trupy źwierząt, i t. d.

Na półwyśpie Sydi-Efrudżi, 16 czerwca 1830 roku, we dwa dni po wylądowaniu armii francuzkiéj, około dziewiątéj godziny rannéj, powstał wiatr okropny północno-zachodni; niebo zaćmiło się nagle, silne grzmotu odgłosy dały się słyszeć i deszcz potokiem lał do południa. Żołnierze nasi bez uchrony, do nitki przemokli; deszcz był tak gwałtowny, że na kroków pięćdziesiąt czło-

wieka trudno było rozpoznać. Trwoga wciskała się w nasze szeregi i nieraz już wykrzykniono: «Owoż burza Karola V (1)» kiedy nagle, koło południa słońce zajaśniało, chmury rozpędziło, i w mniéj jak dwie godzin czasu osuszyło wcale ziemię i nasze odzienie.

Powietrze jest bardzo zdrowe na całém pobrzeżu Barbaryi, miasta, źle bardzo zabudowane, otoczone są cmentarzami i zarzucane kupami brudów, które latem duszące roznoszą wyziewy; w żadném jednak z nich nie panują endemiczne choroby. Atmosfera jest czysta, mgły rzadkie, a lekki tuman co się zwykle z wschodem słońca podnosi, wkrótce potém niknie.

Mimo podniesioną swoję temperaturę, powietrze jest przez większą część roku wilgotne; żeby mieć parę bótów suchych, musieliśmy je wystawiać przez godzinę na

---

(1) Straszna burza zniszczyła część armii i floty tego cesarza, kiedy on Alger w oblężeniu trzymał; o czém będzie niżéj.

słońce; wszystkie żelazne narzędzia nagle rdzawiały, żołnierzóm naszym z wielką trudnością broń swoję czysto utrzymać przychodziło; noże rdzawiały nawet w kieszeniach u spodni.

WEGETACYA.

We wszystkich częściach posiadłości Algeru, któreśmy zwiedzili, wegetacya jest bardzo silna, na płaszczyznach zwłaszcza wraz u podnoża gór położonych i w głębi dolin, gdzie strumienie i źrzódła obfite, łączą swój wpływ dobroczynny z wpływem ciepłéj a niezbyt podniesionéj temperatury: w okolicach uprawnych widzieć można winnice, trawniki i sady napełnione pysznémi drzewami i roślinami; tam zaś, gdzie grunt jest nie do uprawy, pokrywają go bujne krzewy, wśrzód których odznacza się mirt, granatowe i pomarańczowe drzewa, piękniejsze daleko, niźli te, jakie my z takiém staraniem w europejskich chowamy sadach.

Ku końcowi zimy, powierzchnia płaszczyzn i spadzistości gór, krzewem nieporosłe i ręką ludzką niezasiewane, pokrywają się trawą, która często do pięciu stop wysokości dorasta, a skoszona wyborne daje siano.

Rośliny i drzewa rosnące między małym Atlasem i morżem, są też same co na całém wybrzeżu Śrzódziemnego morza (części Włoch, Prowancii, Hiszpanii etc.): często między naszémi roślinami i drzewami, jabłonią, gruszą, morwą, leszczyną, sosną, brzozą, topolą, rośnie *cactus opuntia, agave americana,* daktylowe drzewo i t. d. W okolicach Algeru znajduje się *fumaria officinalis, senecio vulgaris, borago officinalis, solanum nigrum, salix alba* etc.

Wegetacya małego Atlasu, jako téż wzgórków i płaszczyzn między tém pasmem i pasmem wielkiego Atlasu położonych, jest taka sama prawie jak w naszéj Prowancii; lasy zarosłe są szkarłatem, korkowém drzewem i nieco sosen; krzewy składają się z lentyszku, jeżówki włoskiéj, janowca kol-

czatego i t. d. Wino rośnie wszędzie aż do 1000 metrów podniesienia nad pozióm morza; znaleźliśmy je nawet u wierzchołka południowéj spadzistości małego Atlasu o 1500 metrów wzwyż morza. Wszędzie krzew ten bujno rośnie i wydaje znaczną ilość wybornych jagód. Większa część sadów Algeru miała pyszne winogrady, które żołnierze nasi poniszczyli. Ale w Oranie, na dziedzińcu nowéj Kasby, znayduje się krzew jeden, z najpiękniejszych, jaki tylko widzieć można. Jest to jedna latorośl winna posadzona obok wodotrysku; śrzednicy ma 8 cali, 6 linij, gałęzie jéj osłaniają przestrzeń na 45 stop długą, a 25 széroką; naliczyłem tam tysiąc gron, z których każde ważyło więcéj dwóch funtów.

Algerczykowie uprawiają winną latorośl nie dla wina, bo tego Religija im zabrania; ale dla jagód które bardzo lubią, i z których robią sobie konfitury i pewien gatunek warzonego napoju, bardzo gęstego, który nader im smakuje.

Oliwne drzewo bujno też rośnie w każ-

déj okolicy algierskiéj ziemi, piękne z nich gaje znajdują się na płaszczyznach i na bokach gór. Pni ich są tak grube, jak naszych zwyczajnych dębów; lecz że nie są szczepione, wydają drobne bardzo owoce, których nie zbiérają mieszkańcy i na żér dla ptastwa zostawują. W okolicach, gdzie oliwne drzewa uprawiają, jak naprzykład wśrzód małego Atlasu, wydają one bardzo piękne owoce; krajowcy jednak nie umiejąc sobie począć, niegodziwą z nich tylko wyciągają oliwę.

Algerczykowie nie uprawiają też morwowego drzewa, gdyż hodowaniem jedwabników wcale się nie trudnią; sadzone jednak w niektórych ogrodach pięknym swoim wzrostem dowodzą, że im grunt zarówno tam przypada, jak w Prowancyi, gdzie tyle z nich ciągną korzyści.

Najpiękniejsze drzewo Barbarji, co najobficiéj rodzi i najlepsze daje owoce, jest drzewo pomarańczowe; rośnie zwyczajnie na pagórkach wybrzeża, na płaszczyznach i w cieniu dolin małego Atlasu; urody jest

takiéj jak drzewo oliwne, tylko gałęziami swémi, które w kłąb zwija, mniejszą zajmuje przestrzeń. Uprawiają je w ogrodach i pysznych sadach, które często miasta i wioski otaczają. Drzewo to zawsze zielone, zawsze trzyma kwiat w najprzyjemniejszym zapachu wabi zdaleka, i owoce tak zielone jako i dojrzałe, które złotym kolorem odbijając na tle zieloném czynią pyszny widok; patrząc na te pomarańczowe sady, zdaje się widzieć ogród Hesperid.

Daktylowe drzewo pospolite jest w całéj północnéj stronie małego Atlasu, i dość nawet tam bujno rośnie, ale owoce jego są łykowate. Jakie są dobre daktyle w Algerze i innych nadmorskich miastach, te przychodzą z nadbrzeżów pustyni, zkąd Barbaryjczykowie na wielbłądach je sprowadzają.

Od miesiąca czerwca do piérwszych dni października, drzewo figowe Barbarji (*cactus apuntia*) co w około pól i domów za mocne i na 12 do 15 stop wysokości ogrodzenie służy, pokryte jest mnóztwem owo-

ców, które dla mieszkańców czasu lata całą prawie żyzność stanowią. Owoce te są bardzo smaczne, ale przyczyniają nieraz gwałtownych dyssenterji.

Jujuba i jeżówka tam dziko żyjące, a które też i w sadach hodują, obficie dostarczają wybornych owoców. Ale jabłonie, grusze, śliwy, morele, bądź że je źle uprawiają, bądź że ciepło jest zbyteczne, mało rodzą i niesmaczny dają owoc. Z drzew europejskich brzoskwini tam jest najlepiéj, ale owoc jéj jest niebezpieczny, zawsze prawie febrę daje.

Pszenica i jęczmień są ulubioném zbożem, które najczęściéj na polach przez Maurów, Arabów i Barbaryjczyków uprawianych napotkać można. Rodzą bardzo dobrze; ale ich ziemia na któréj one zasiewają, jest zawsze źle przygotowaną, kłosy są rzadkie i rola nie wydaje połowy tego coby wydadź mogła. Zapewniano mię wszakże, że w latach śrzedniego urodzaju, zbierano 8 ziarn, a w dobrych do 12. Arabowie rolnicy i Barbaryjczykowie, sieją pewien gatunek

białego prosa, które oni *drak* nazywają, na pokarm dla domowego ptastwa; używają go też i oni sami, oplewiwszy je w żarnach i jak ryż opiekłszy.

Ryż jest także uprawiany po wielu płaszczyznach małémi przerzniętych strumykami, których z wielkim przemysłem używają krajowcy do zwilżania swoich plantacij.

Wszyscy w ogólności mieszkańcy posiadłości Algeru, lubią bardzo kartofle, i wiele bardzo ich sieją; ale nie rosną one bujno, i nigdy nie są tak dobre jak w naszych stronach: największe są jak zwyczajne jaja, inne zaś jak orzechy: dwa razy na rok pospolicie je zbierają, raz w czerwcu, drugi raz w grudniu.

ŹWIERZĘTA.

Wszystkie drapieżne źwierzęta, tak pospolite w głębi Afryki, znajdują się też i na jéj północném wybrzeżu; lwy, tygrysy są i w posiadłościach Algeru; ale nie są ani stra-

szniejsze, ani liczniejsze jak wilki w naszych okolicach. Tych zdaje się braknąć w Barbarii, miejsce ich trzymają szakale, rodzaj pośrzedni między wilkiem a lisem. Źwierz ten jest najżarłoczniejszy ze wszystkich, ale też jest tak bojaźliwy, że na żyjącą owcę nawet rzucić się nie śmie.

Rzadko kiedy za dnia wałęsają się szakale; ale zaraz po zachodzie słońca licznémi gromadami pola plondrują i trupy zjadają; często na grobowiska wchodzą i zmarłych odkopują. Dla zachowania właśnie szczątków ojców swoich od paszczy szakalów, Algerczykowie osłaniają groby murem, przykrywają je wielkiémi kamieniami, na które jeszcze kilka stop ziemi nasypują. Kiedyśmy wojnę prowadzili, szakale przychodziły nocą zjadać zabitych wśrzód naszych obozów, nie raz trzodami ich otoczeni słyszeliśmy bezprzestanne ich wycie.

Krajowcy nie polują wcale, lub bardzo rzadko na szakale, gdyż im żadnéj szkody one nie czynią, i skóry ich nie są bardzo popłatne; ale często robią polowania na lwy

i tygrysy, których skóry drogo bardzo przedają: i to tylko mieszkańcy gór Atlasu, gdzie wśrzód lasów te straszne źwierzęta żyją, najwięcéj polowaniem się tém trudnią. Mają oni sposób łowienia lwiątek, który tyle zręczności, ile zimnéj krwi wymaga.

Ci którzy młodych lwiątek szukają, odkrywają łatwo, w porze kiedy lwice zległy, po śladach na piasku lub glinie zostawionych, miejsce gdzie one mają swoje szczenięta. Z doświadczenia wiedzą, że jeden zawsze przy małych zostaje, podczas kiedy drugi idzie szukać im żywności. Kiedy matka jest na straży, oka nigdy nie zmróży i ma się zawsze w gotowości jak pożrzeć człeka lub źwierzę, coby się ośmieliło do jéj drogich zbliżać dzieci; ale ojciec nie jest tak troskliwy, zaledwie się koło dzieci swych układnie, wnet głębokim snem usypia. Barbaryjczyk co lwiątka odkrył, pilnuje wycieczek ojca i matki, żeby się dobrze przekonać o godzinach straży każdego z rodziców. Wówczas pod niebytność lwicy siada na konia i dojeżdża gniazda najbliżéj jak

można; bosą nogą dopada nagle lwiątek, porywa oboje nie budząc ojca, wraca rychléj jeszcze do swojego konia, wsiada nań i ucieka czwałem unosząc swoję zdobycz. Zdarza się wszakże niekiedy, że zbudzony lew krzykiem swoich szczeniąt, pożrze i jeźdzca i konia.

Wszystkie, jakie w Europie mamy zwierzęta domowe, znajdują się w Barbarji, koń, osieł, muł, wół, krowa, koza, owca, i t. d. Ale jest jedno, którém niebo obdarzyło samych tylko mieszkańców stref gorących, aby przez pustynie śpiekłych piasków przenosić ich z tłómokami i żywnością na dni kilka; i tém jest wielbląd, nieodstępny towarzysz Araba, którego sprzęt i domowstwo przenosi na grzbiecie z krainy do krainy.

Źwierzę to znosi trud z nieprzełamaną wytrwałością, dni kilka może bydź bez napoju; nieco trawy którą na polu zerwie, garść jęczmienia lub wyki wystarczają na jego utrzymanie. Chodzi bardzo szybko, i może nie jedząc ani pijąc ujśdź na dzień od 15 do 18 mil ze siedmią lub ośmią centnarów ładunku na grzbiecie.

Arabowie mieszkający w okolicach Algeru, posiadają wiele wielbłądów, których do wszelkiego rodzaju przewozów używają. Za najmniejszym postrachem, pokolenie całe zwija swoje namioty, składa je na wielbłądy, wraz ze swojémi tłómokami, żywnością, jukami i dziećmi, i co żywiéj w góry umyka.

Kiedy Arabowie mają użyć wielbłądów, sprowadzają je z pastwiska przed oboz. Niewielkim pręcikiem uderzają po przednich nogach, a źwierz natychmiast na wszystkie cztéry nogi przyklęka i nieporuszony daje się ujuczać, póki wódz wsiadłszy na którego z nich, da hasło pochodu: wszystkie w ów czas jeden za drugim podróż zaczynają, zważając pilnie na głos przewodnika, który zwykle karawan zawiéra. Skoro karawana u kresu swojego stanie, wódz wstrzymuje wszystkie wielbłądy, które za takimże już znakiem, klękają znowu i czekają cierpliwie nim ciężary z nich zdéjmą.

We wszystkich miastach Barbarji widzieć mnóztwo wielbłądów w dni targowe:

ich gromady stawią pyszny widok, a Arab który niémi kieruje, zgrabnie przystrojony swoim białym baikiem, który na głowie przytrzymuje mu potrójny, z ciemnéj wełny, sznurek, z pałeczką w ręku, zdaje się bydź jednym z tych czarowników, którym mieszkańcy wschodu tyle władzy przyznawają.

Opisaliśmy dopiéro najpożyteczniejsze źwierzę Barbarji; ale najpiękniejsze, to, które najwyżéj krajowcy cenią, i które w większém mają zachowaniu, niżli żony swoje i dzieci, jest koń, Araba przyjaciel i towarzysz, który w boju sławę jego i trudy podziela.

Konie któreśmy w posiadłościach Algeru widzieli nie są czystéj arabskiéj rassy, zachowują jednak podobieństwo do tych pięknych koni, które nam z Syrji i Egiptu przychodzą. Nogi mają doskonale złożone, krzyż zadługi trochę, boki okrągłe bez widocznéj wydętości brzucha, łopatki lekkie i płaskie, głowę małą i dobrze osadzoną, szyję długą lekką grzywą porosłą. Śrzedniego są wzrostu; najwyższe nie mają więcéj

nad 4 stopy 9 cali. Chociaż lekkie bardzo w bieganiu, leniwe są jednak dosyć i bodźca potrzebują. Siodła Arabów i Barbaryjczyków są takież jak tureckie. Wędzidło poboczy jest żelaznym kolcem, którego część do gęby wchodząca ma na sobie pół okrągłą wygiętość, co się w podniebienie wpiéra, kiedy jeździec konia wstrzymuje. Dwa krótkie żelazne u obówia rożny, nieco przy końcach zakrzywione, służą jeźdźcowi za ostrogi, którémi on wedle cnoty konia, albo lekko go dotyka, albo mu boki porze. Wędzidło jest tak urządzone, że jeździec czwałem nawet biegącego konia może na miejscu osadzić. I co nas najbardziéj dziwiło za przybyciem do Algeru, było to widzieć Arabów, jak oni, czwałem na nas pędząc, wstrzymywali nagle swoje konie, na odległość wystrzału, strzelali do nas i w półkole się zwróciwszy, zmykali jak błyskawice, do koni swoich przytuleni.

Każdy Arab gospodarz domu, ma przynajmniéj jednego konia, jeźli zaś ich kilka posiada, odłącza jednego na potrzebę wo-

jenną. Pieści go, pielęgnuje, głaszcze, dziwi mu się, i na to więcéj, niżeli dla żon swoich, czasu poświęca; często o nim wspomina, opowiada jego pochodzenie i świetniejsze czyny, z zapałem prawdziwie wschodnim. Arab, za niepospolity sobie uważa zaszczyt, posiadać konia, który w prostéj linii pochodzi od jakiego sławnego biegacza, i na dowód tego chowa jego genealogiją na pergaminie spisaną. Algerczykowie wozów wcale nie znają i koni w nie zaprzęgać nie umieją; najgorszych używają do noszenia ciężarów; tych zaś którym cokolwiek przyznają wartości zawsze pod siodło przeznaczają.

Muły i osły Barbarji, są równie piękne, jak naszych południowych prowincij. Woły i krowy bardzo są liczne w całéj krainie Algeru; ale znacznie drobniejsze od naszych i nie tak smacznego mięsa, krowy téż nie tyle dają mléka jak u nas.

Wszędzie widzieć można liczne trzody owiec mało różniącego się gatunku od naszych. Trzody te stanowią główne bogactwo arabskich pokoleń, które się wełną ich

odziewają, a mlékiem ich i mięsem żywią. Mięso baranie w Algerze najlepsze jest do jedzenia. Krajowcy pieką je i w garnkach szczelnie zamkniętych zachowują, przez lat kilka.

Inne domowe źwierzęta też same są co i u nas. Algerczykowie wielką ilość kur chowają i nieco perlic. We wszystkich miastach jest bardzo wiele gołębi, których mieszkańcy nie jedzą, w religijném zachowują poważeniu, i pewną cześć im oddają. Dla bocianów też z wielkiém są uszanowaniem.

Źwierzyna jest bardzo pospolita, zające zwłaszcza i kuropatwy. Niziny wilgotne zamieszkane są mnóztwem wodnych ptaków; jakoto: deszczowniki, czajki, bekassy, bociany, czaple i t. d. Na Metidzie jest piękny gatunek małych białych czapli, które zimą stadami trzód nieodstępnie się pilnują. Towarzyszy im zwykle takie mnóztwo szpaków, że gromady ich w powietrzu zdają się bydź gęstémi nagle wstrząsającémi się chmurami.

CZŁOWIEK.

Nie tak jest w algerskich stanach, jak we wszystkich prawie Europy, gdzie każdy kraj jedno plemie rodzaju ludzkiego zaludnia. W części Barbarji, którą wojsko francuzkie przechodziło, zdało się nam rozpoznać siedm bardzo oddzielnych plemion ludzi, które między sobą się różnią i charakterem fizycznym i obyczajami i zwyczajami: są to Maurowie, Barbaryjczykowie, Araby, Murzyni, Żydzi, Turcy i Kulugli, którzy trzymają się osadami, na małéj bardzo przestrzeni kraju, jak naprzykład w okolicach Algeru na półkolu niemającém dziesięciu mil promienia.

Maurowie i Barbaryjczykowie są najdawniejszymi kraju tego mieszkańcami; pochodzą oni, wedle Sallustiusza, ze zlewku żołnierzy armii Herkulesa z Hiszpanii do Afryki południowéj, z Libijczykami i Getullami, pierwotnymi kraju tego mieszkańcami.

Maurowie obyczajów łagodniejszych ni-

żli Numidowie, sposobni bardziéj do towarzyskiego życia, osiedli na brzegach morza, pobudowali sobie miasta, kiedy tamci w góry się zapuścili, gdzie pod namiotami lub w nikczemnych chałupach z gałęzi drzew lub chrostu ziemią osutego skleconych, żyli. Maurowie przenieśli jarzmo wszystkich zdobywców którzy na południowym Afryki brzegu kolejno się zmieniali; połączyli się nawet z nimi, co niemało czystość ich plemienia zmąciło. Od czasu panowania Turków, wielu niewolników chrześcijańskich, którzy przyjąwszy Islanizm, Maurytanki sobie za żony pojęli, tak się z Murzynami połączyli, że dziś klassa ludzi którym imie Maurów dają, składa się z piérwiastków bardzo różnorodnych; są wszakże jeszcze familije, które z obcą krwią się niemieszając, zachowały charaktery swojéj pierwotnéj rassy.

Uroda mężczyzn jest więcéj jak śrzednia. Układ ich poważny i ślachetny; włosy mają czarne, płeć nieco dogorzałą, ale bardziéj białą niż ciemną, nos orli, gębę śrzednią, oczy duże, ale mało ożywione. Po-

wszechnie mają dość ciała, co na piérwszy rzut oka może służyć dla rozróżnienia ich od Barbaryjczyków i Arabów, którzy zawsze prawie są bardzo chudzi. Skład kobiét jest odpowiedni składowi mężczyzn. Niektóre są bardzo piękne; wszystkie prawie mają włosy czarne i piękne oczy.

Ludność maurytańska większa jest niżeli każda inna, obyczaje jéj są bardzo łagodne, cała prawie zawiéra się w miastach i miasteczkach murowanych; często bardzo bronić się musi od Arabów i Barbaryjczyków, którzy ciągle ją napastują.

Wraz z Religiją przyjęli Maurowie wszystkie prawie obyczaje Turków, pod despotyzmem których, nimeśmy przyszli im nasz narzucić, żyli więcéj niż lat trzysta. Ubiór ich podobny jest bardzo do tego, jakiego powszechnie na wschodzie używają, noszą spodnie bardzo szérokie, które im po kolana tylko nogi zakrywają, żupan i dwie kamizelki złotem lub jedwabiem przetykane, wedle możności i stanu, na głowie mają turban. Całém ich obówiem są pantofle sa-

fijanowe bardzo głębokie, które oni nazywają *babusz*.

Jak Maurowie są najłagodniejszymi ludźmi Barbarji, tak też są i najleniwsi; większą część swojego czasu trawią na ławie lub rogoży z sitowia z nogami na krzyż złożonémi, z fajką w gębie, przy swojéj ulubionéj kawie. Bardzo są też nabożni i uiszczają się należycie ze wszystkich obrządków przez koran im przepisanych. Kiedy godzina pacierzy wybije, padają na ziemię wszędzie, gdziebykolwiek ich czas modlitwy zastał, i modlą się najgorliwiéj, wybijając pokłony i całując ziemię wielekroć im to nakazano, nie troszcząc się wcale o tych co ich otaczają.

Mahometanie Algerscy modlą się pięć razy na dzień o świcie, po południu, o czwartéj w wieczór, wraz po zachodzie słońca, i nakoniec w godzinę po tém. W tych rozmaitych porach, obwoływacz (*muezin*), z góry minaretu, wywiesiwszy białą niewielką chorągiew, woła z caléj siły: «Jeden tylko jest Bóg, Bóg jest wielki, a Mahomet jego jest

prorokiem!» Co trzy razy powtarza, i następnie: «Pozdrawiam was wierni; przychodźcie do meczetu błogosławić Boga, a ci którzy są w polu lub w drodze, niech modlą się tam, gdzie się znajdują: pacierz dobry jest wszędzie.» Na głos muezina zbierają się do meczetu wszyscy, którym czas pozwala, inni zaś modlą się tam gdzie mogą.

Kobiéty do meczetów przystępu nie mają, i nie są nawet obowiązane modlić się u siebie. Muzułmanie bowiem wierzą, że one duszy nie mają, i stworzone są tak, jak wiele innych rzeczy ku użytkowi i przyjemności mężczyzn.

Małżeństwo u nich nie jest wcale obrządkiem religijnym, jest to gatunek targu, który odbywa się sposobem nieźmiernie dziwacznym.

Mężczyźni i kobiéty nie mogą wcale obcować z sobą swobodnie; panny które młodzieńczego wieku doszły, też młode kobiéty nie wychodzą nigdy lub bardzo rzadko; te tylko, które już pewnego wieku dosięgły,

mają wolność wyjścia, z zakrytą twarzą tak, że ledwie im oczu dojrzeć; obwinięte tylą opon, że szczérze wyglądają jak ruszające się zwoje bielizny. Maurowie nie pozwalają przyjaciołóm swoim wnikać w swoje domowstwo; przyjmują ich u wejścia do domu pod przysionkiem, gdzie zasiadają na kobiercach, i z założonémi na krzyż nogami fajki palą i kawę piją. Taki sposób życia przeszkadza młodzieńcóm widzieć młode panny i starać się je ku sobie nakłonić. Małżeństwa więc zawiérają się przez układ rodziców lub wykrętne majaki, bez naymniejszéj znajomości dzieci pomiędzy sobą.

Zdarza się niekiedy, że młodzieniec zasłyszawszy niemało o piękności i cnotach jakiéj panny, podnosi ją w swojéj wyobraźni i zapala się ku niéj potężną namiętnością. Używa wówczas wszystkich sposobów żeby zasięgnąć wiadomości o przedmiocie swojego uwielbiania: jeżeli tedy nie może nakłonić swojéj matki, żeby ona poszła sama zapewnić się przez się o wszystkich jéj wysławianych przymiotach, udaje się do jakiéj

starćj kobiéty znajoméj z biegłości kojarzenia małżeństw, a takich w Barbarji jest nie mało; obiecuje jéj podarunki i pieniądze żeby tylko pójśdź chciała do domu młodéj dziewczyny, zapewnić się o prawdzie wszystkich posłuchów i zdadź mu z tego czysty rachunek.

Owoż powiernica zachodzi w dóm młodéj panny, udając inny wcale zamiar, niżeli ten co rzeczywiście ją tam sprowadza, a w ciągu rozmowy nieznacznie poselstwo swoje wyjawia; zwłaszcza jeźli młodzieniec nie źle jest docześném opatrzony dobrém. Jeźli tedy namieniony związek rodzice zaszczytném bydź widzą, obdarzają tę kobiétę podarunkami i świetnémi obietnicami, żeby ją zobowiązać do wychwalania cnót i piękności swojéj córki, i szczęśliwa swacha tym sposobem dwa snopy na raz młóci. Z powrótem do młodzieńca, staruszka rzecz czyni najczęściéj wedle tego jak była przyjętą, nie zaś wedle sprawiedliwości postrzeżeń swoich. Kiedy młodzieniec zaspokojony jest danémi wiadomościami, jakich o swojéj

pannie poszukiwał, obowiązuje swojego ojca albo najbliższego krewnego swojego, jeśli już ojca nie ma, prosić o nię dla siebie w zamężcie.

Jakkolwiek przedwstępne odbyły się układy, ojcowie którzy skłonili się dzieci swoje małżeńską spółką połączyć, udają się do kadego (sędziego), i przed tym urzędnikiem zwiérzają się ze swoich zamysłów i oznaczają summę jaką przyszły małżonek obowiązany jest dadź swéj żonie. Po takowém oświadczeniu, które do księgi wciągają, kadi częstuje ich wodą cukrem zasłodzoną, którą wspólnie piją; nakoniec, padają na ziemię i przesyłają Bogu pacierz (*feata*) prosząc o błogosławieństwo dopiéro zawartemu związkowi. Nim się każdy w swoję stronę uda, rodzice oznaczają czas, w którym panna młoda do męża odprowadzoną będzie. Tym czasem zajmuje się ona poszyciem swojemu mężowi koszuli i spodeń, w które na dzień ślubu ma się on ubrać.

Za przyjściem dnia oznaczonego, młoda narzeczona bierze wannę, po czém ustrajają

ją w najpiękniejsze jéj suknie; malują dłonie jéj i górną część stopy czérwonym kolorem; rysują jéj kwiatek na czole; brwi czarno farbują i przysmolonym korkiem rysują jéj na rękach linije w gzi-zag; tak przystrojona poważnie siadłszy na kobiercu, czeka zachodu słońca, pory, w któréj krewni jéj i przyszłego jéj małżonka, mężczyzni i kobiéty z najlepszémi jéj przyjaciółkami, które zwykle przy gotowalni jéj towarzyszyły, przyjdą odprowadzić ją do męża. Dwóch starców bierze wówczas młodą narzeczoną pod ręce, i ku jéj nowemu zmierzają mieszkaniu w towarzystwie wszystkich zgromadzonych około niéj osób, z których wiele niosąc zapalone latarnie, ozywają się niekiedy zwyczajnym Algerczyków radości okrzykiem: Ju! Ju! Ju! W domu przyszłego małżonka, wcześnie już przygotowana jest izba pysznie przystrojona i oświecona różnofarbnémi lampami; gdzie wprowadzają młodą małżonkę ze wszystkiémi jéj towarzyszkami, tam one przy zostawionéj wieczerzy, do północy jedzą, piją

i zabawiają się. Mężczyzni, którym potrzeba było zostać w przedsionku, wieczerzają wspólnie w innéj izbie, prócz małżonka, który je sam w osobnéj komnacie, dla tego zapewne, aby współbiesiadnicy nie pociągnęli go do zbytku i żeby mógł przyzwoicie w oznaczonéj godzinie stawić się przed tą, któréj szczęście wziął na koszt swojego starania. Tą godziną jest północ, pora o któréj odmykają się meczety. Wszyscy wychodzą, a małżonkowie zostają tylko z sobą.

Muzułmanie nie mogą mieć więcéj nad cztéry żony, lecz wolno im chować tyle nałożnic wiele się im tylko podoba. Algerczykowie jednak rzadko używają udzielonego im przez koran pozwolenia; wszyscy prawie jednę tylko mają żonę, a większa ich część wcale się bez nałożnic obchodzi.

Barbaryjczykowie. Wedle tego co starożytni autorowie o Numidach napisali, wyraźna jest, że Barbaryjczykowie, przez Algerczyków zwani *Kbail*, są potomkami owego to odważnego ludu, którego jazda tak straszną była zawsze legijom rzymskim. Co

Sallustiusz o Numidach prawi, również może do Barbaryjczyków się stosować. Zawsze trzymają się w głębi gór zamknięci, zkąd od czasu do czasu wypadają, wszyscy na koniach, i znagła najeżdżają wsi i miasta Maurów, toż osady Arabów, które w mgnieniu oka zrabowawszy znowu w góry ze zdobyczą się unoszą.

Mężczyzni są śrzedniego wzrostu; płeć mają bardzo śniadą, nieczarną wszakże; włosy bardzo ciemne; wszyscy są nader chudzi, ale nieźmiernie krzepcy, znoszą też trudy i niedostatki z niezwyczajną stałością i męztwem. Twarzy nie są tak ściągłej jak Arabowie, lecz wyraz jéj ma coś dzikiego, wyraz którego postępowanie ich wcale nie zbija. Mówią językiem oddzielnym (*chavia*), który z żadnym znajomym językiem stosunku nie ma, i który bydź musi dawniejszym numidyjskim. Noszą się prawie tak jak Arabowie, w długiéj, białéj, wełnianéj sukni własnego wyrobu, która im całe ciało okrywa, a na wierzch téj wdziewają, kiedy zimno jest lub w podróż się wybiérają,

płaszcz (*berna*) tegoż wątku z kapturem. Nie mieszkają oni wcale pod namiotami, lecz tylko w chałupach małych, plecionych z gałęzi drzew lub chróstu gliną tłustą oblepionych.

Barbaryjczykowie znają się dobrze na rolnictwie; są bardzo przemyślni, i wyrabiają sobie sami wszystko co im jest potrzebne, broń nawet, proch i stęplowaną monetę. Wydobywają téż sobie z kopalni miedź, ołów i żelazo.

Ci, którzy bliżéj równin mieszkają, będąc w ciągłych z Arabami stosunkach, przyjęli w części Iślanizm; ale reszta narodu jest prawie bez żadnéj Religii. Barbaryjczykowie całą ufność swoję pokładają, i pewien gatunek czci oddają niejakim tak nazwanym *Marabu*. Są to ludzie oświeceńsi od drugich i bardzo zręczni, są oni nakształt wróżbitów wiejskich. Mieszkańcy osady, w któréj żyje taki Marabu, nie robią żadnego przedsięwzięcia bez jego porady; kłótnie między osobami prywatnémi, a nawet między osadami zachodzące, na jego sąd zdają: jest to najwyż-

szy sędzia. Czasu wojny ci Marabu nieraz są pośrzednikami i przelaniu krwi zabiegają. Za wszystkie czynione sobie przysługi Barbaryjczykowie składają dla Marabu różne podarki i z największém są dla nich poważeniem. Kiedy z nich który umrze, stawią mu wspaniały grobowiec, ozdabiają go najlepiéj jak mogą, i do takowego idą radzić się co chwila zwłok tego, którego za życia tak poważali i uwielbiali. Grobowiec Marabu zowie się też Marabu. Muzułmanie, Maurowie, Arabowie, Murzyni mają także swoich Marabu, nie mają ci jednak tyle u nich wpływu ile u Barbaryjczyków, chociaż są też bardzo poważani i nadani wielkiémi swobodami.

Kobiéty Barbaryjczyków chodzą z odkrytą twarzą i nie są tak zamknięte jak u Maurów i Arabów. Młodzi ludzie zasługują się pannom nim się pobiorą. Małżeństwo wszakże u nich jest jeszcze czystym targiem. Młody człowiek co się chce ożenić, musi rodzicóm za pannę pewną ilość pieniędzy lub sztuk bydła w zamian ofiarować.

Długie targi ugodę poprzedzają; kiedy zaś ta nastąpi, udają się razem do Marabu, który daje swoje pozwolenie lub takowego odmawia, a jak nic bez jego przyzwolenia się nie dzieje, młodzieniec często jest jeszcze zmuszony je u niego kupować. Gdy wszystkie uprzątną się już zawady, przyszły małżonek udaje się do swojego teścia z ilością bydła lub pieniędzy umówioną; przyjmuje swoję narzeczoną, sprowadza ją do swojéj chaty i tam bez innéj ceremonii staje się jéj małżonkiem.

Arabowie którzy żyją na równinach posiadłości Algeru, są zupełnie tacyż sami, jak Arabowie Egiptu i wszystkich innych części Afryki. Są to potomkowie owych zdobywców, co pod panowaniem Kalifów zdobyli większą część Afryki i do Hiszpanii się przedarli.

Arabowie podzieleni są na osady, z których każda ma swojego wodza pod nazwiskiem, *szek*. Mieszkają oni pod namiotami, które wedle pory roku, przenoszą z sobą z miejsca na miejsce; uprawiają ziemię i

chowają wielkie trzody, które główne ich składają bogactwo; są oni daleko mniéj czynni i przemyślni jak Barbaryjczykowie, a może i nieco mniéj okrutni. Lubią wszakże bardzo wojnę i obiegają zbrojno okolice dla rabowania podróżnych i osad maurytańskich.

Arabowie to, wnieśli Iślanizm w posiadłość algerską i obrzędy ich religijne, nie różnią się wcale od obrzędów Maurów i Turków, z którymi często do jednego zbiérają się meczetu. Ubiór ich mało różni się od ubioru Barbaryjczyków.

Kobiéty u Arabów ubiérają się podobno jak Maurów, nie tak są jednak zamknięte i bojaźliwe jak Maurytanki. Wśrzód swoich osad często się one odkrywają, i swobodne z mężczyznami rozmowy prowadzą.

Murzyni. W Algerze jest bardzo wiele familij Murzynów, które wśrzód Maurów i Arabów żyją i jednych z nimi praw używają dla tego że Iślanizm przyjęły. Familije te pochodzą z niewolników z głębi Afryki sprowadzonych, a których poźniéj, panowie

ich, wolnością udarowali. Prócz tego Maurowie i Arabowie mają wiele niewolników Murzynów obojéj płci, którzy domowe sprawują usługi, i o których oni są bardzo troskliwi.

Żydzi. Mnóztwo jest Żydów we wszystkich miastach tego państwa. Alger sam ma ich przeszło 5 tysięcy. Lud Izraela jest tutaj jak we wszystkich innych świata częściach oddany handlowi, szachrajstwu i niepomiarkowanéj chciwości. Odznacza się składem fizycznym, obyczajami, zwyczajami i swojémi obrzędami religijnémi.

Zdaje się, że do Afryki schronili się Żydzi po zniszczeniu Judei przez Wespazijana cesarza; ci zaś co zamieszkali w Algerze, chowają o swojém przyjściu jednę z najśmieszniejszych powieści, któréj jednak wszystkie części są u nich artykułami wiary.

«Kiedy Muzułmanie, powiadają oni, posiadali Hiszpaniję, pozwolili nam byli wśrzód siebie mieszkać, oddawać się handlowi, i wyznawać otwarcie naszę świętą Religiją. Gdy ich Chrześcijanie wypędzili i ten pię-

kny kraj podbili, przez czas jakiś nie mieszali nam pokoju. Lecz zazdrośni bogactw, jakieśmy pracą naszą uzbiérali, nie omieszkali nas prześladować. W 1390 roku wielkiego rabina sewilskiego Simon-Ben-Smia okuto w kajdany, i z 60 główniejszych ojców familij żydowskich do więzienia wtrącono. Krok ten samowolny był hasłem daleko większych okrucieństw, jakicheśmy do owéj pory doznawali. Śmierć rabina i towarzyszów jego niedoli była już naznaczona, miano już ich stracić, kiedy niebo uratowało ich jednėm z tych nadzwyczajnych cudów, jakich roczniki nasze stawią tyle przykładów.

«Wszyscy ci którzy z Simonem byli razem, widząc zbliżającą się ostatnią swoję godzinę, martwiejący w smutku, oddawali się rozpaczy; jeden ten wielki człowiek był nieporuszony, i zdawał się z odwagą smutnému swojemu ulegać losowi. Wtém oczy jego zaiskrzyły się niezwyczajnym ogniem, ożywiła się twarz jego i promień światła otoczył jego głowę; tejże chwili wziął kawał węgla, zrysował okręt obrócony ku morzu, i odwra-

cając się ku tym co płakali, rzekł stanowczym głosem: «Niech ci wszyscy co potędze bozkiéj ufają i chcą ztąd wyjśdź natychmiast, dotkną palcem wraz ze mną tego okrętu. « Wszyscy to zrobili, a wnet okręt narysowany stał się istotnym okrętem, począł się sam dźwigać, przebył ulice Sewilli, na wielkie podziwienie mieszkańców, nie uszkodziwszy z nich żadnemu, i zatoczył się wprost na morze ze wszystkimi tymi co na nim byli. Cudowny okręt zagnany był wiatrem do zatoki Algeru, miasta, które wówczas przez samych tylko mahometanów zamieszkane było. Za prośbą Żydów żeby tam osieśdź, Algerczykowie wysłuchawszy cudownego sposobu, jakim Żydzi ocaleli od prześladowania Chrześcijan, radzili się sławnego Marabu, który żył w Meliana; odpowiedź jego była za przyjęciem dzieci Izraelà, dano więc im pozwolenie wylądowania, a mieszkańcy mając na czele starszych swoich w prawie i Religii, udali się nad brzeg gromadą żeby ich przyjąć.

«Przyznano Żydóm wszystkie przywileje,

jakich używali w Hiszpanii, pod panowaniem Maurów, otrzymali oni nawet prawo robienia wódek i wina. Wszystkie warunki traktatu spisane były na pergaminie, który rabinowie algerscy zachowują dotąd w swoich archiwach.

«Ale za nastaniem Turków w tém mieście, despotyzm ich który się wkrótce rozciągnął na wszystkich mieszkańców jakiéjkolwiek bądź oni byli Religii, zaciekł się szczególniéj na Żydów; lud Izraela popadł jeszcze w niewolą, aż kajdany jego stargała armija francuzka, która potęgę algerską zniszczyła.»

Turcy, którzy przez trzy wieki całą dziedzinę Algeru posiadali, nie wprowadzili się tam jako zwycięzcy: Algerczykowie sprowadzili ich byli sobie w pomoc przeciw Hiszpanom, którzy im kilka miast nadmorskich zabrawszy, traktowali je tak, jak owe w Ameryce, z niesłychaną srogością.

Milicija turecka, która główną siłę wojskową państwa składała, zaciągała się w Smyrnie, Konstantynopolu i w wielu innych miastach Turcyi, przez agentów deja, wedle

zawartego przymierza między tym książęciem a Sułtanem. Żołnierze tureccy używali w Algerze wielkich bardzo przywilejów, których część większą żeniąc się tracili. Wielu wszakże żeniło się z córkami Maurów lub kobiétami chrześcijańskiémi które w niewolą brali korsarze i jako pojmanki przedawali. Starzy janczarowie, którzy wszyscy z pełnym żołdem służbę porzucali, żenili się także, i stąd jest wiele familij tureckich we wszystkich miastach, gdzie dej straż miejscową utrzymywał.

A jakkolwiek Turcy ożenieni tracili wiele ze swoich przywilejów, dość im zawsze ich zostawało; zachowując tedy całą swoję janczarską dumę, umieli oni zawsze trzymać zdaleka od siebie wszystkich Maurów, tych nawet z którymi się spokrewnili.

Dzieci zrodzone z małżeństwa Turków z niewolnicami chrześcijańskiémi, uważane były za rodowitych Turków i używały jednych z ojcami przywilejów, mogły zaciągać się do wojska i dobijać się wszystkich urzędów państwa; ale dzieci spłodzone z mał-

żeństwa Turków z Maurytankami wchodziły do klassy rodziców swoich matek, nie mogły służyć wojskowo, niektóre tylko urzędy były im pozwolone, i takowe nosiły, i dotąd noszą nazwisko Kulugli.

Kulugli są za zwyczaj przystojni ludzie; skórę mają białą i muskuły bardzo wyraźne; temperamentu są limfatycznego; spokojność i łagodność malują się na ich twarzy. Ubiór ich jest tenże sam co Maurów i Turków; ale przystrajają się z pewną zalotnością, która bardzo do ich charakteru przypada i przypomina obyczaje azyjatyckie. W tow rzyskim stanie Kulugli uważani byli za jedno z Maurami; ale jako Turków pokrewni, nie ponosili oni krzywd, jakiémi zwykle Turcy trapili wszystkie inne klassy. Ci ludzie wyznawają Religiją muzułmańską w któréj się rodzą, ale z tą obojętnością, jaką we wszystkich swoich zachowują czynnościach, i która jest jedną z ich cech wybitnych.

Takich to jest siedm rodzaju ludzkiego plemion zamieszkujących państwo Algeru.

Ludzie tu żyli pod najsroższym despotyzmem. Mocarz Algeru (dej), miał nad swémi poddanémi prawo życia i śmierci, i mógł majątki ich, żony nawet i dzieci zabiérać, kiedy mu się to dobrém zdało: najlichszy powód, spisek mniemany, najmniejsze praw koranu przełamanie, dostateczném było na potępienie człowieka i zabranie dóbr jego.

Dej miał swoich ministrów postawionych na czele każdéj gałęzi administracyi i obowiązanych wymiérzać sprawiedliwość, każdy w swoim oddziale. Rosterki między prywatnémi godzili sędziowie (Kadi). Od każdego sądu podrzędnego wolno było do samego deja się odwoływać.

Prowincye rządzone były przez bejów, namiestników deja, tych obowiązkiem było co lat trzy stawić się przed dejem, dla zdania przed nim rachunku ze swoich czynnoności; podéjrzani gardłem płacili za swojém do dworu przybyciem.

Taki krwawy despota był jednak obierany przez woysko, nieokrócone wprawdzie żołnierstwo, i które go zabijało, skoro się

tylko nań zażaliło, lub kiedy jaki dumny chciwiec tronu obietnicami je pobudził. Jeden tylko dej na własnéj umarł pościeli, i to czasu zarazy, a zdarzało się, że na dzień jeden pięciu kolejno było obranych, i wraz zabitych.

Kiedy deja zabito, co zwykle w skutek jakiego zaburzenia wynikało, członkowie milicyi, żołnierze i starsi zgromadzali się do dworu pod przewodnictwem agi, ministra wojny. Tam każda strona swojego podawała kandydata, aga zaś imie jego obwoływał; i póty mianowano kandydatów, póki z nich którykolwiek jednomyślnie prawie wybranym nie był; co zgromadzenie okrzykami swémi obwieszczało. Często strony, żeby swojego wynieść kandydata do oręża się nabrały i wielki bywał krwi rozlew. Gdy nareszcie wśród srogich zaburzeń, do porozumienia przyszło, wybrany, suknią jedwabną (kaftan) przystrojony, zaniesiony był na tron, a milicija okrzykiwała: «Szczęście! radość! niech Bóg sławą i pomyślnością obdarza tego, którego podobało mu się posta-

wić na czele dzielnéj milicyi Algeru.» I natychmiast rozbiegali się woźni po ulicach, obwołując: «Dej umarł, a ten jest obrany na jego miejsce.» Takim sposobem dej bywał obierany i wojsko w kluby swoje wracało.

ALGER I JEGO OKOLICE.

Stolica państwa Algeru położona pod 36° 47′ szérokości północnéj, a 0″ 42′ długości wschodniéj, wznosi się w amfiteatrze na stoku wzgórza podnożem w morzu tonącego. Kształt jéj jest trójkątny, a u wiérzchu trójkąta który jest najwyższym punktem miasta, zbudowana jest cytadella, Kasba. Domy altanami u góry kończone, jak we wszystkich miastach wschodu, bielone są wapnem, równie jako fortece i wszystkie gmachy rządowe, tak, że widziane z morza w pewnéj odległości miasto Alger, wygląda na obszérny pokład kredy z boku góry otworzony.

Miasto to, otoczone jest fossą suchą

i wałem bluszczowanym, które na obronę od Arabów i Barbaryjczyków wystarczają. Od strony morza ma mnóztwo twierdz i bateryj, które przystęp do niego niepodobnym prawie czyniły. Zatoka też na 4 mile odległości na wschód i zachód opatrzona była bateryjami i kilką twierdz, które nieprzyjacielskim okrętóm nakazywały trzymać się zawsze na strzał działowy.

Wewnątrz miasto jest najgorzéj zbudowane, ulice są tak ciasne, że wielbląd ojuczony z trudnością po najszérszych przechodzi, a wiele jest takich przez które dwie tylko osoby obok iśdź mogą. A jak pochodzistość gruntu jest często bardzo stroma, wiele z tych ulic prawdziwémi są wschodami.

Wszystkie domy są jednym kształtem budowane, zwykle okien na ulicę wcale nie mają; izby składające dwa a nawet trzy piętra, urządzone są w około wielkiego kwadratowego dziedzińca, galerija bardzo schludna, ozdobiona maurytańskiémi kolumnami, znajduje się na każdém piętrze, i łączą izby

wszystkie, których drzwi i okna na tę galeryją wychodzą. Główniejsze budowle Algeru są: twierdza morska, meczety, kasba, i kilka koszar janczarskich.

Twierdza morska urządzona jest w podkowę, połączona z miastem pyszną kamienną groblą, któréj wnętrze zawiéra ogromne składy. Latarnia morska wznosi się w śrzodku téj podkowy, któréj prawa strona w zakrzywieniu tworzy port Algeru, nie bardzo bezpieczny i na wielkie wojenne okręty niedostateczny.

Liczba meczetów jest bardzo znaczna; rachują ich tam dziesięć wielkich, a pięćdziesiąt mniejszych. Małe, są to tylko kaplice lub groby Marabu. Wielkie zaś są piękne, prostokątne gmachy, na trzy nawy dwiema rzędami kolumn podzielone. W końcu wielkiéj nawy, od strony wschodu, jest niewielka framuga w murze wyżłobiona, u sklepienia któréj zawieszone są strusie jaja: w téj framudze stawa iman (kapłan) dla odmawiania pacierzy. Obok téj jest kazalnica z drzewa lakierowanego, a niekiedy z bia-

łego marmuru pięknéj roboty, na którą co uroczystość on wstępuje. U wéjścia świątyni, jest fontanna dla pomywania się, a po wszystkich nawach zawieszone u sklepienia łańcuchy utrzymują lampy, które w dni świąteczne i na czas wszystkich wieczorem odbywanych tam obrządków zapalają. W kościołach swoich Muzułmani nie mają ani posągów, ani obrazów; tylko z obu stron framugi znajduje się kilka tablic, na których wypisane są charakterem arabskim wyjątki z koranu. Nigdy tam inaczéj jak boso nie wchodzą, i podczas obrządków zachowują się z największém nabożeństwem.

Koszary janczarów, są to wielkie budowle z dziedzińcem wewnątrz, w około którego są pokoje wychodzące na galeryją. W tych koszarach było kilka fontann wybornéj wody, i kloaki ze szczególniejszą utrzymywane czystością.

Kasba, cytadella Algeru i pomieszkanie deja, jestto wielki gmach, wysokim bardzo murem otoczony, który tylko z ogromnych armat przez okna stérczących i kilku strzel-

nic u góry i ze śrzód muru wykrzesanych na twierdzę wygląda. Mury te obejmowały pałac deja, meczet, składy towarami napełnione, prochownią i kilka bateryj zbrojnych w działa i moździerze, równie miastu jak okolicóm grożące; dwa piękne ogrody i menażeryją we wszystkie źwierząt gatunki bogatą; słowem Kasba zawiérała trzy rzeczy, które wzajemnie zdają się odznaczać: całą okazałość wojny wraz z bogactwem spekulacyj handlowych, przepychem i wszystkiémi roskoszami wschodu.

Ludność Algeru, która do 30,000 dusz przed przyjściem Francuzów dochodziła, składa się z Maurów, Turków, Żydów i Murzynów.

Z wału Kasby, widać twierdzę cesarską, która nad nią się wynosi i stoi na kopcu o wystrzał działowy w stronie południowo-wschodniéj. Twierdza ta jest mocnym murem prostokątnym z cegły, bez bastyonów; nie mogła też ona wytrzymać dobrze prowadzonego napadu, ale że była zbrojną w pięćdziesiąt armat i kilka moździerzy,

musieliśmy się przed nią okopać, a pięć godzin gęstego ognia wystarczyło na wzięcie jéj.

Alger zbudowany jest na gromadzie wzgórków, które daleko bardzo na wschód i zachód, a na trzy mile ku południowi aż do Metidyi się ciągną. W promieniu dwu mil na około miasta wznosiło się wśrzód pysznych sadów i ogrodów, więcéj jak tysiąc wiejskich domów, sposobem wschodnim stawionych, których część większą żołnierze nasi zniszczyli. Malownicze bardzo doliny, strumykami w znacznéj części przerzynane, przedzielają wzgórki jedne od drugich. Wody tych strumyków i wielkiéj części źrzódeł nie głęboko pod ziemią ukrytych, sprowadzane rurami garncarskiéj roboty, skrapiały ogrody wszystkich tych wsi pięknych, żywiły pyszne ich wodotryski i wszystkie wodociągi miejskie. Wzgórza okolic Algeru są bardzo żyzne, części nieuprawne pokryte są gęstémi krzewami, których bujność zalety gruntu odkrywa.

METIDYJA, BELIDA I KOLEA.

Metidyja jest wielką płaszczyzną, objętą wzgórkami dopiéro wspomnionémi i łańcuchem małego Atlasu, który na dwadzieścia mil wdłuż równolegle do morza się ciągnie, na cztéry lub pięć mil w szérz się rozlegając. Kilka strumieni ją przerzyna (Ued-ża, Arrah, Amiza i t. d.) i wiele strumyków. Niektóre części téj płaszczyzny błotniste są i niezamieszkane, lecz większa przestrzeń jéj gruntu zdrowa jest bardzo i żyzna. Celniejsze miejsca jéj zamieszkały pokolenia Arabów, którzy pod namiotami lub w chałupach, z gałęzi drzew albo chróstu plecionych żyją. Pokolenia te posiadają liczne trzody, które największe ich bogactwa stanowią.

Gdzie niegdzie dają się tam widzieć murowane dworki, które do deja i urzędników państwa należały. Niektóre z nich miały koło siebie śliczne sady drzew pomarańczowych i oliwnych, a wszystkie pewną część ziemi mniéj więcéj dobrze uprawnéj.

Belida położona na końcu Metidyi u pod-

noża małego Atlasu o jedénaście mil na południowo-wschodniéj stronie Algeru, zbudowana jest w tymże co Alger sposobie; mniéj tylko ma wysokie domy i najczęściéj bez piątra. Minarety cztérech meczetów Belidy, wyglądają zdaleka przez śrzodek gaju pomarańczowego; złożonego z sadów, co je otaczają i najcudniejszy czyniąc widok.

Ulice tego miasta są szérsze i lepiéj wytknięte niż w Algerze; ale większa ich część zawalona jest gruzami, z powodu trzęsiénia ziemi, które zburzyło to miasto w 1825 roku. Mierząc na liczbę domów Belida mogła obéjmować wówczas od 6 do 7 tysięcy dusz. W 1830 liczono zaledwo 4 tysiące dusz, Maurów, Turków, bardzo mało Arabów i 60 familij żydowskich. Mieszkańcy Belidy uprawiają swoje sady i najniższe Atlasu ściany winem porosłe, toż przepyszne pola wśrzód których mnóstwo drzew widać.

Kolea. Na północ i w obec Belidy po drugiéj stronie płaszczyzny, widzieć się daje Kolea, zbudowana w małéj wzgórków po-

brzeżnych dolinie; wystawiona na południe, a od wiatrów północy i zachodu zasłonięta. Trzęsienie ziemi 1825 roku zniszczyło też część tego miasta, i w 1831 r. jeszcze klęski jego naprawione nie były. Dwa tylko są meczety w Kolei, domy dość podobne do domów Belidy, niektóre tylko kryte są dachówką żłobiastą. Ludność tego miasta nie przenosi 3000 dusz, licząc w to i pokolenia Arabów mieszkających tam pod namiotami w sadach i ogrodach przyległych. Sady te daleko są mniéj piękne od sadów Belidy. W promieniu ćwierci mili w około murów, są pola źle uprawiane, daléj zaś ciągną się w odległą przestrzeń grunta krzewami porosłe.

MAŁY ATLAS I MEDEJA.

Największa część południowego stoku małego Atlasu, który odgranicza Metidyją, pokryta jest chróstem i lichym lasem z szarłatu i korka.

W przyległości Belidy, równiny i prze-

rwy gór uprawiane są do 1000 metrów wysokości nad poziom morza; tam znajdują się wszystkie owocowe europejskie drzewa, a nawet pomarańcze i agawa.

Uprawy nie sięgają więcéj jak do dwóch trzecich części wysokości góry, a do samego grzbietu jéj rośnie tylko szarłat i korek nikczemnéj postaci. Na południowéj zaś pochyłości, do samego prawie wierzchołka dochodzą pomieszkania i uprawy.

Droga z Belidy do Medei, przerzynająca łańcuch małego Atlasu, o trzy mile na zachód od Belidy, w pokoleniu Muraja, wykręca się po gruncie jałowym lub lichym lasem porosłym. Gdzie niegdzie dają się widzieć w głębi dolin chałupy, otoczone kęsem wyrobnego gruntu. Przechodzi się grzbiet góry u sławnego cypla Jenii, gdzie bej Titery na głowę był zbity, mimo wszystkie korzyści takiego stanowiska. Przebywszy niedostępne prawie ciaśniny, dzielące wysokie góry lasem porosłe, wychodzi się na jałowe i puste wzgórza u podnoża gór leżące i ciągnące się aż do Medei.

Medeja, położona między dwóma Atlasami, o 22 mile w południowo-wschodniéj stronie Algeru, zbudowana jest na niewielkiém wzgórzu ściętém od zachodu, a staczającém się na wschód. Otoczona jest miąższym bardzo murem z kamieni, w którym wykrzesanych jest pięć bram; dwie z tych strzeżone są lichémi baterjami o cztérech działach. Śliczny wodociąg na dwu rzędach obłąków i pod którym się przechodzi idąc z Algeru, prowadzi do miasta wyborną wodę, która mnogie zasila fontanny.

Widok Medei różny jest wcale od widoku innych miast pobrzeża, domy jéj kryte są dachówką złobiastą i niebielone. Nie znaleźć już tam agawy, kaktusów i pomarańczy; ogrody winnicami zajęte, a pola uprawne, strzeżone płotami z głogu żywią jabłonie, grusze, śliwki i t. d., jak gdyby we Francyi w górach burgundzkich.

Ulice Medei są dość dobrze prowadzone, po obu ich stronach wznoszą się chłodniki. Miasto to ma cztéry meczety, jedne koszary janczarów, i dość lichy pałac zamieszkany

przez syna beja Titery; ojciec jego mieszkał w pięknym bardzo wiejskim domie, postawionym na równinie o pół mili na wschód miasta. Ludność złożona z Arabów, Turków i kilku rodzin żydowskich od 6 do 7 tysięcy dusz liczy. Mieszkańcy trudnią się rolnictwem.

Wszystkie okolice Medei zamieszkane są przez pokolenia bardzo okrutnych Barbaryjczyków, od których nieraz to miasto bronić się musi. Na dziedzinie tych pokoleń dziś jeszcze widzieć można ślady szańców dla powściągnienia Numidów sypanych przez Rzymian, wówczas kiedy ci panowie świata kusili się między dwóma Atlasami osiedlić.

ORAN.

Można z Algeru do Oranu lądem się dostawać; przechodząc Metidyją, kilka niewielkich pasm gór, i nareszcie obszérne płaszczyzny, które ciągną się aż do cesarstwa marokańskiego; jest tam 80 do 90 mil odległości. Napotyka się po drodze wiele koczu-

jących pokoleń, które trudnią się uprawą ryżu i chleba; mało domów zamieszkanych przez naczelników pokoleń; żadnych wsi ani mieścin, tylko kilku miast rzymskich zwaliska, których rozległość dowodzi jak niegdyś one znakomite były. Przechodzi się rzek kilka, a między innémi pyszny Szelif, którego wody ożywiają równiny i płaszczyzny, które przebiega.

Francuzi nie mogą lądem z Algeru do Oranu się dostawać, i kommunikacyja między garnizonami tych dwu miast odbywa się morzem. Aż do Mastaganu, miasta położonego u ujścia Szetefu, pobrzeże osadzone jest wzgórkami, daléj górami dość wyniosłémi, na których widać wsi i miasteczka. U stop wysokiéj góry Szennach, o 20 mil od Algeru, jest małe miasto Szerszel, bardzo dobrze zabudowane, otoczone sadami i żyzną okolicą: od Mastaganu do przylądka Ferrat grunt jest płaski, daléj zaczynają się góry, które daleko na zachód Oranu się ciągną.

Miasto Oran położone w zatoce, pod

35° 44′ szérokości północnéj, a 3° 2′ długości wschodniéj, zajmuje dwa przeciągnione równe wzgórza, przedzielone głębokim bardzo wąwozem, gdzie płynie rzeka, która kilka młynów obraca, wody miastu dostarcza i ogrody jego skrapia. Oran długo był dzierżony przez Hiszpanów, którzy otoczyli go wałem, pobudowali pyszne twierdze, dziś jeszcze w dobrym utrzymujące się stanie. W części zachodniéj jest wiele bardzo rozwalin domów i gmachów hiszpańskich, klasztorów, kościołów, pałaców i t. p., które w 1790 trzęsienie ziemi zburzyło. Pośrzód tych zwalisk Maurowie i Arabowie wznieśli sobie kilka domów; ale maurytańskie miasto rzeczywiście jest na prawym brzegu rzeki. Część ku morzu obróconą, zajmuje *Nowa-Kasba*, pyszna twierdza, roboty hiszpańskiéj; w niéj rezydencyją swoję béj założył. Domy są prawie takie jak w Belidzie; dziedziniec wewnętrzny kryty jest zwykle winnym chłodnikiem, który cienia i wyborowych jagód dostarcza.

Oran zamieszkany jest przez Maurów,

Arabów, Turków, Żydów i nieco Murzynów. Wedle rozległości miasta uważając, ludność jego, przed wejściem Francuzów, od od 5 do 6 tysięcy dusz wynosić mogła; ale za naszém przyjściem wszyscy mieszkańcy uciekli, wyjąwszy Żydów i kilka maurytańskich familij. Na wschód i południe Oranu były dwie wioski murowane i przez Arabów zamieszkane; ale zniszczyć je trzeba było dla obrony miasta, na które wciąż napadali mieszkańcy tejże wsi wespół z innymi.

Płaszczyzna która na południe Oranu znajduje się, zrzadka wzgórkàmi posiana, jest nie zamieszkana, chróstami porosła i mało do uprawy zdatna. Pokolenia które na wiosnę tam się zgromadzały, żyją dziś pod Atlasem o 8 mil od miasta.

W Oranie nie ma portu, zatoka w głębi której on leży, jest zbyt płytka, żeby handlowe nawet statki przyjąć; a co większa, wystawiona jest na wszystkie wiatry.

Mers-el-Kebir. O pół mili na północ i zachód tego miasta jest wyborna przystań, dość głęboka, na wojenne statki, i gdzie flota

od stu okrętów zastawiać się może naygwaltowniejszym burzóm. Przystań tę, nazwaną Mers-el-Kebir (wielki port) broni kilka fortec, z ciosanego kamienia wzniesionych, największa z tych, położona na przylądku ku północy najbardziéj posunionym, zawiéra magazyny i mieszkania na 1600 ludzi garnizonu. Za fortecą Mers-el-Kebir, aż do wielkiéj na zachód odległości, pobrzeże najeżone jest ostrym i nieuprawnym brzegiem.

KONSTANTYNA I JÉJ OKOLICE.

Konstantyna położona jest na wschód Algeru pod 4° długości; o 20 mil w głąb kraju. Drogę łączącą te dwa miasta, przebywać mogą tylko ujuczne źwierzęta. Idzie ona wysokiémi górami, gdzie znajdują się ciaśniny trudne do przebycia, a okolice ich zamieszkane są przez Barbaryjczyków okrutnych i bitnych, którzy wędrowców rabują lub wykupném przyciskają.

Konstantyna zbudowana jest wśrzód wiel-

kiéj płaszczyzny, nad rzeką Sufimar, która mury jéj okrąża w półkole. Miasto to zbudowane jest na sposób Medei, jest ono pomieszkaniem beja, któregośmy poskromić nie mogli, i który nas ustawicznie trapił utarczkami, napadając co chwila, na zajmowane przez nas na pobrzeżu stanowiska. Miasto to całe nie jest wzmocnione, małą tylko ma bateryją od strony Algeru, zbrojną siedmią czy ośmią armat. Ludności nie więcéj jak 15,000 dusz mieć może, złożonéj z Arabów, Murzynów, Turków z córkami Arabów pożenionych i dwa tysiące Żydów. Mieszkańcy zajmują się rolnictwem i handlem. Jest wielki targ w Konstantynie, na który z głębi kraju przywożą wielką ilość towarów, wełny, wosku, zboża, bydła, wyrobów kusznierskich i t. d. Towary takowe kupowane bywały na rachunek negocyjantów mieszkających w Bonie, którzy je do Europy odsyłali.

W przyległości miasta, oba brzegi rzeki, które z sobą łączy pyszny most, przez Rzymian stawiony, strojne są ślicznémi ogroda-

mi i sadami, pośrzód których wygląda kilka ładnych domów wiejskich.

BONA I BUGIJA (2).

Z Konstantyny do Bony piękna dość prowadzi droga, którą snadnie dla wozów możnaby urządzić. Dwa te miasta mają 30 mil od siebie odległe, grunt między niémi jest niebardzo górzysty i w większéj części uprawny. Na pół drogi przechodzi się w brod Sejbuza, mająca od 60 do 80 metrów szérokości. W ciągu całéj drogi, znajduje się wiele zwalisk miast i budowli rzymskich. Zbliżając się do Bony, grunt górzysty pokryty jest lasem z oliwy, jodły i lentyszku.

Kiedy Francuzi Bonę zajęli, część tego miasta była w zwaliskach, i ludność jego dość znaczna kilką lat wprzódy, do 1600 dusz

(2) Ciekawém zapewne będzie dla naszych czytelników wiedzieć, że w tém mieście pierwiastkowo wynalezione były świéce jarzęce, którym Francuzi od tegoż miasta dali nazwisko. (*Nota tłumacza.*)

zmniejszała. Postawiona nad brzegiem morza, znajduje się ona u stop wysokiego szczytu, na którym wznosi się cytadella (Kasba). Mur na dziesięć stop wysoki osłania Bonę w około cztéry bramy podobne jak w Medei, dają wniście do miasta. Domy budowane są tak jak w Algerze; meczety nic ciekawego nie przedstawiają; najpiękniejszym gmachem jest Kasba, obszérna i dobrze zbudowana twierdza, zbrojna kilkanastą armat. Przy pomocy kilkuset ludzi bronić się może przeciwko sąsiednim barbaryńskim hordóm.

Bona leży w zatoce zakończonéj przylądkiem *de la Garde* i przylądkiem *Rosa*. Przy dwu tych przylądkach, są bardzo wyniosłe góry, które nagle morzem się kończą. Trzy rzeki w tę zatokę wpadają: Sejbuza, Sejbora i Saba. Nad brzegiem Sejbuzy, w południowo-zachodniéj stronie miasta, jest wzgórze, na którém znaczne są jeszcze zwaliska klasztoru apostoła tych okolic Śgo Augustyna, który do Chrystyjanizmu nawracał Maurów, podczas kiedy oni jeszcze Rzy-

mianom byli podlegli. Cała zatoka okolona jest nasypami piasków, które głęboko w kraj zachodzą.

Między Boną i Bugiją kraj jest bardzo górzysty i zamieszkany przez pokolenie Barbaryjczyków bardzo bitnych, którzy przez długo jeszcze i kommunikacyi lądowéj między témi dwóma miastami przeszkadzać i wszelkim osadom, jakieby Francuzi wdłuż pobrzeża urządzić chcieli, wszystkiémi siłami opiérać się będą.

Bugija leży w głębi zatoki zasłonionéj przylądkiem *Karbon* od północnych i północno-wschodnich wiatrów; wojenne okręty mają tam dobrą przystań; pięć bateryj broni wniścia do niéj. Miasto to jest o 30 mil od Konstantyny, 55 od Bony, 45 od Algeru odległe. Nie mamy wcale opisania ludności jéj, góry bowiem ją otaczające, zamieszkane są przez dzikich i bitnych Barbaryjczyków, którzy nie przestają napadać na nasze wojsko od czasu wylądowania, i z którymi niepodobna będzie nigdy zawiązać jakkolwiek trwałych przyjaźnych stosunków.

WIADOMOŚCI HISTORYCZNE.

Nim Rzymianie Kartaginę zniszczyli i zaprowadzili osady na afrykańskim brzegu, od granic Egiptu do kolumn Herkulesa, kraj ten cały dwa wielkie zajmowały narody, Maurowie i Numidowie, którzy wedle Salustyjusza, pochodzili ze zlewku Libów i Getulów naturalnych kraju tego mieszkańców, z żołnierzami wojska Herkulesa, którego część do Afryki, po zdobyciu Hiszpanii, przyszła.

Ci mieszkańcy byli wtenczas w stanie mało od dzikości różnym: jedli sérowe mięso źwierząt, żywili się polną trawą jak krowy i owce, mieszkań sobie klecić nie umieli, i spali jak dzikie źwierzęta, tam gdzie im przypadło.

Obyczaje ich nieco się złagodziły przez stosunki jakie zabrali z Medami, Persami i Armeńczykami, pobudowali sobie miasta, a wkrótce potém, wzniosły się niektóre straszne morskie potęgi. Cywilizacyja wszakże nagłych między nimi nie robiła postępów;

gdyż Prokop, historyk wyprawy Belizara, mówiąc o Maurach, którzy od wieków między Rzymianami żyli, dodaje: «Mieszkają oni w nędznych chatach i śpią na ziemi; najbogatsi zaledwie mają kilka skór owczych dla podesłania się; jedne noszą suknie w każdéj porze roku, nie znają ni chleba, ni wina, i jedzą zboże i jęczmień jak bydlęta, nie ścierając go na mąkę.»

Osady rzymskie naprzód w okolicach Kartaginy i Utyki zagnieżdzone, rozłożyły się wkrótce po całém pobrzeżu aż do gibraltarskiéj ciaśniny. W miarę jak one gruntu przybiérały, Numidowie cofali się w góry; ale Maurowie którzy handlem się trudnili i po nadbrzeżnych utrzymywali się miastach, w swoich pozostali domowstwach, żyli w dobrém z Rzymianami porozumieniu, ich religiją i obyczaje przyjęli.

Numidowie w górach schronieni, wypatrywali tylko sposobnéj chwili, żeby wpaśdź na Rzymian, a wsi ich i miasta złupić. Rzymianie też nieraz zapędzali się za nimi aż do ich kryjówek; ale widząc że tak nie-

podobna ich dosięgnąć, pobudowali twierdze w głębi gór, osadzili tam swoje załogi obowiązane dopatrywać nieprzyjaciół i wycieczkom ich zabiegać.

Postanowienia takowe nie mogły mieć nigdy oczekiwanego skutku; Numidowie potrafiali zawsze czujność Rzymian omylić i zgromadzeni nie raz w dość znacznéj liczbie napadali na twierdze, dobywali je i wyrzynali całe osady.

Półki rzymskie pokilkakroć Atlas cały przebiegały ścigając nieprzyjaciela aż w jego najgłębszych ustroniach; ten nigdy jednak zwalczonym bydź nie mógł; i zaledwie legije rzymskie na swoje stanowiska wróciły, Numidowie nowe rozpoczynali wycieczki.

Rzeczpospolita znając jak wielkie korzyści ciągnąć mogła ze swoich w Afryce posiadłości, ogromne czyniła nakłady żeby je utrzymać; i mimo wszystkie Numidów usiłowania, rzymską stałością przełamując wszystkie zawady, przyszła do przywłaszczenia dolin i najpiękniejszych równin,

po których wkrótce rozsiały się wsi i miasta liczną zajęte ludnością.

Numidija i obie Maurytanije zajmowały całą przestrzeń, która poźniej stała się posiadłością Algeru. *Hippo-Regius*, *Cirta*, *Saldae* i *Caesarae* były głównémi okolic tych miastami.

Pomyślność osad afrykańskich z pomyślnością cesarstwa ściśle była połączona. Zamieszki we Włoszech i wtargnienie barbarzyńców, podało myśl Rzymianóm afrykańskim oddzielenia się od matki ojczyzny; już kilka buntów przytłumiono, kiedy pod panowaniem cesarza Walentynijana, Bonifacyjusz rządzca afrykańskich prowincyj otwarcie posłuszeństwo wypowiedział i przywołał sobie na pomoc Wandalów, podówczas panów Hiszpanii.

Ludy te podbojów chciwe, przebyły w wielkiéj liczbie kolumny Herkulesa, pod przewodnictwem Gontarika jednego ze swoich naczelników, i zabiérając wszystkie miasta, jakie na swojém przejściu znalazły, aż pod Kartaginą stanęły. Bonifacyjusz,

który zbyt wiele liczył na pomocy Wandalów, poznał wprędce, że zamiast sprzymierzeńców, sprowadził sobie panów. Nastarawszy się tedy daremnie u Gontarika, żeby odstąpił, zebrał co mu jeszcze zostawało z żołnierzy i bił się zajadle. Ale zniesiony zupełnie i do ucieczki zmuszony, zostawił Wandalów panami tych prowincyj nad którémi sam chciał przewodzić. Ci zaś znalazłszy się w posiadłości jednego z najpiękniejszych w świecie krajów, postanowili tam osieśdź; wysłali posłów do cesarza z oświadczeniem poddaństwa i obietnicą płacenia haraczu; Rzym wówczas nie był w stanie prowadzenia wojny, dla odzyskania swoich afrykańskich prowincyj, przyjęto więc oświadczenia Wandalów.

Przez lat sto Wandalowie używali w pokoju przywłaszczonego plonu, ale w 524 roku, gdy Gelimar synowcowi swojemu oczy wyłupić kazał dla odebrania mu rządów, i poprzednicy jego nie dość ściśle z obowiązków cesarstwu powinnych uiszczali się, césarz Justynijan wysłał Beliza-

ryjusza, który Kartaginę wziął, kraj cały aż do kolumn Herkulesa z Wandalów oczyścić kazał i znowu go pod panowanie rzymskie poddał.

Rzymskie cesarstwo od czasu przeniesienia stolicy jego do Konstantynopola, coraz nagléj skłaniało się do upadku. Załogi afrykańskie korzystały z tego, żeby się odosobnić. Maurowie, Chrystyanizm przyjąwszy, żyli w lepszém, niż kiedy, porozumieniu z Rzymianami, których część znaczna córki ich w małżeństwo pojęła. Wówczas to potworzyło się wiele szczupłych ziem wolnych, gdzie Rzymianie z krajowcami w równym prawie znaleźli się podziale.

Arabowie, Egipt objąwszy, nieraz Rzymian w ich siedliskach naciskali i zmuszali pokój hołdem okupować, kiedy w 697 roku umyśliwszy wszystkie ich zagarnąć posiadłości, przyszli z wielką siłą Kartaginę obledz. Jan, cesarza Leoncijusza wódz, zgromadziwszy wszystkie swoje siły, stawił pole muzułmanóm, zbił ich i wypędził z granic cesarstwa.

Zły wyprawy skutek, nie zniechęcił wszakże tych zapalonych wojowników: za powrotem do Egiptu nowe zrobili zaciągi, uzbroili potężną flotę w porcie Alexandryi, i morzem i lądem na kark Rzymianóm wrócili. Jan zbyt słaby, żeby się utrzymać, zwyciężony nawzajem; zabrał się na okręt z resztą wojsk pozostałych i do Konstantynopola wrócił, cesarzowi donieść o utracie wszystkich afrykańskich prowincyj.

Raz Rzymian wygnawszy, Arabowie nie znajdując już żadnéj zawady, żeby się rozszérzyć, zagarnęli bez oporu kraj cały aż do gibraltarskiéj ciaśniny. Maurowie poddali się bez walki nowemu jarzmu, odstąpili Chrystyanizmu dla religii Mahometa, i córki swoje dali Azyatóm, jako piérwéj dawali Rzymianóm i Wandalóm. Numidowie zawsze w górach zamknięci, nie chcieli z Arabami zawiérać przymierza i trwale na wojennéj stopie się trzymali.

Dzieci Mahometa, panowie obu Mauretanij, byli zanadto blizko Hiszpanii, jednego z najpiękniejszych w świecie kraju, a który

kolejno przez ręce wszystkich europejskich zdobywców przechodził, żeby przeciw niemu nic nie przedsięwziąć. Już kilkakrotnie, acz bezskutecznie wylądować tam byli probowali, gdy w 712 roku, hrabia Julijan, podniosłszy rokosz przeciw Rodrygowi, prawemu swemu monarsze, ku pomocy ich sobie wezwał. Arabowie, ciągnąc za sobą Maurów i resztki Wandalów, przebyli ciaśninę, zwyciężyli w kilku walnych bitwach książąt chrześcijańskich, i zmusiwszy ich szukać schronienia w górach Asturyi, rozłożyli się w najpiękniejszych okolicach iberyjskiego półwyspu.

Do XI wieku Muzułmanie byli spokojnymi posiadaczami kraju, jaki byli sobie zabrali, pobudowali tam miasta, pałace i wspaniałe meczety, z których kilka dotąd jeszcze jest dobrze zachowanych.

W 1492 Ferdynand aragoński i Izabella kastylijska władnąc przemożnie Hiszpaniją, trapiąc Muzułmanów nieustanną wojną, wygnali ich wreszcie od siebie zupełnie.

Ci którzy spod morderczego zwycięźców żelaza ujśdź potrafili, przebyli ciaśninę i poszli szukać przytułku u swoich współwierców afrykańskich. Ale nienawiść ich ku chrześcijanóm była zbyt zastarzała, i oni sami zbyt chciwi swojéj, żeby wytrwać spokojnie w sąsiedztwie tak piękněj krainy, którą dopiéro co stracili. Wnet też uzbroili kilka małych statków korsarzami, którzy, na Śrzódziemném morzu łupili handlowe okręty, i urządzili rozbojników morskich, którzy wypadając znienacka na hiszpańskie brzegi, rabowali je, a ludność w niewolą zabiérali.

Główne porty gdzie schraniali się rozbojnicy morscy stały się wkrótce stolicami małych ziem, które też niedługo na posiadłości barbaryjskie przeszły; te w potęgę urosłszy, śmiały chcieć prawa pisać europejskim mocarzóm.

Po śmierci Izabelli, mąż jéj uważając bydź sobie zaszczytném ścigać nieprzyjaciół aż w ich posiadłościach, nalegany usilnie przez kardynała Xymenesa nakazał wy-

prawę przeciw twierdzy Mers-el-Kebir głównemu rozbojników domowisku, pod wodzą Rajmunda z Kordonny i Diega z Korduby. Flota 5cio tysięcami żołnierzy zbrojna pod rozkazami Rajmunda, wyszła z portu Malagi w końcu sierpnia 1504 roku. Wstrzymana przeciwnémi wiatry, zmuszona zahamować się u portu Almerii, nierychléj jak 11 sierpnia przed twierdzą stanęła. Chrześcijanie widząc Mers-el-Kebir nasrożoną liczną armatą, stanęli na wschód, na wystrzał działowy. Wylądowanie, przedstawiało największe trudności, Maurowie też i Arabowie broniący brzegu, mając je za niepodobne, rozeszli się zostawując w twierdzy tylko 3000 ludzi i 200 koni. Hiszpani za wylądowaniem słaby odpór znalazłszy, twierdzę zdobyli i załogę swoję osadzili.

We cztéry lata po wzięciu Mers-el-Kebiru, rządzca tego miasta, zabrał znajomość z niejakimsiś Żydem z Oranu, który obiecywał wydadź Hiszpanóm bramę od strony Telmecen położoną. Uwiadomiony o tém kardynał

Xymenes, zgromadza flotę i wojsko na zdobycie Oranu. Wojsko pod dowodztwem Piotra z Nawarry, składało się z 15000 starych żołnierzy rozmaitéj broni. Kardynał siadł na okręt 16 marca 1509 roku, rozwinięto wnet żagle i 17 flota już była przed brzegami Afryki. Wylądowanie odbyło się w porcie Mers-el-Kebir w nocy tegoż 17 dnia.

Mieszkańcy Oranu dowiedzieli się o tém nazajutrz rano, kiedy nieprzyjaciel już nadchodził. Rzucili się oni na spotkanie Hiszpanów, ale przemożeni, tył podali, bramę od Telmecen otworzono, i Oran był wzięty bez wystrzału.

Po wzięciu Oranu, kardynał do Hiszpanii wrócił i do portu Kartageny zawinął w pięć dni po wypłynieniu ztamtąd.

Wyprawa na Bugiją. Piotr z Nawarry miał w porcie Mers-el-Kebir 13 zbrojnych okrętów, opatrzonych żywnością i amunicyją; na tę eskadrę wsadził część wojska, które tylko co do wzięcia Oranu należało: puścił się na morze, i u Iwiki złączył się

z innym morskim oddziałem, dowodzonym przez Hieronima Vianelli. Dwie te eskadry mając w ogóle 5000 ludzi zbrojnych, wyżeglowały 1 stycznia i przed Bugiją 5 tegoż miesiąca stanęły; ale dla przeciwnych wiatrów, na pełném morzu trzymać się musiały. Około 10,000 Barbaryjczyków i Arabów w znacznéj części konnych, pod wodzą króla swojego, zajęło góry otaczające miasto.

Za uciszeniem się wiatrów okręty rzuciły kotwice i wylądowywanie wkrótce nastąpiło. Nieprzyjaciel rzucił się na przód, ale rażony artyleryją okrętową, cofnął się co żywiéj, zostawując wczas spokojny do wysadzenia na ląd wojska. Wódz naczelny wylądowawszy z piérwszémi szykami, ustawiał je do potyczki w miarę przybywania ich, i kiedy tak cztéry mocne urządził kolumny, pomknął się z niémi na nieprzyjaciela prosto, żeby go ze stanowiska wyparowć. Przerażeni Afrykanie nie śmieli z Chrześcijanami się zetrzeć, opuścili ważne swoje stanowiska, i ku miastu się cisnęli, licząc na za-

stanie swoich wałów; ale Hiszpani nacierali tak zblizka, że w miasto społem z nimi wpadli. Tak Bugija w jednéj chwili była wzięta i na łup wystawiona.

Upadek ten nagły Bugii, którą Barbaryjczykowie za niedobytą mieli, rzucił postrach na całe pobrzeże, a nawet daleko wgłąb kraju. Sąsiednie miasta obawiając się podobnego losu, wysłały posłów ofiarując haracz i posłuszeństwo swoje królowi Hiszpanii. Alger który wówczas nie był tak jak dziś obronnym, był jednym z piérwszych do upokorzenia się.

Królowie z Tunis, Tedełez, a nawet mieszkańcy Mustaganu uznali się hołdownikami korony kastylijskiéj, któréj panowanie rozciągnęło się w krótkim czasie od Tunis do ciaśniny gibraltarskiéj. Hiszpani Alger posiadłszy, zbudowali twierdzę na skale, która przed tém miastem wyspę stanowi. Taż twierdza wzmocniona przez Turków poźniéj, i przystań Algeru i całą siłę tego stanowiska rozbojników dotąd składała.

Afrykanie traktowani przez Hiszpanów

jak zwyciężeni i niewierni, z trudnością wielką jarzmo swoje dźwigali. Śmierć Ferdynanda zdarzona w 1516 roku ożywiła ich odwagę i o odzyskaniu wolności pomyślili.

Algerczykowie przywołali sobie na pomoc, królika Arabów Selim-Utemi, który używał wówczas wielkiéj wojennéj sławy. Wojownik ten nie sądząc się dość mocnym, żeby sam jeden Hiszpanóm podołał, wysłał gońca do sławnego korsarza Barberussy, który wówczas nad Śrzódziemném panował morzem, nakłaniając go do dobywania morzem twierdzy Algeru, podczas kiedy ów ze swojéj strony od lądu na miasto się zwali. Oba te napady dobrze pokierowane, najpomyślniejszy miały skutek; załogę hiszpańską wzięto w niewolą; Alger i całą jego dzielnicę, pod panowanie muzułmanów przywrócono.

Ale obaj zwyciężcy, co się tak byli dla napaści zgodzili, porozumieć się żadną miarą nie mogli, w rozrządzeniu zabranym krajem; Selim-Utemi był zabity, a syn

jego między Hiszpanami szukać schronienia zmuszony. Na wyprawę swoję przeciw Algerowi Barberussa przywiódł był z sobą towarzyszy swoich rozbojów, Turków prawie wszystkich, którzy zrobili piérwszy zawiązek owéj to tak potém strasznéj milicyi Algerskiéj.

Wkrótce po wzięciu Algeru przez Barberussę, flota Hiszpańska 10,000 żołnierzy zbrojna, stanęła pod miastem dla dobycia go. A chociaż kilka statków rozbiło się o skały przytykając do brzegu, wylądowanie niemniéj przeto odbyło się; ale Hiszpanów rabunkiem zajętych, syn Barberussy z Arabami i Maurami napadłszy, wszystkich w pień wyciął.

Po tém zwycięztwie Barberussa, któremu ono wielką w kraju zapewniło przewagę, przedsięwziął wszystkich Hiszpanów zupełnie wygnać, i byłby tego dokazał, gdyby go śmierć we dwa lata poźniéj nie zabrała w bitwie stoczonéj pod Telmecenem.

Po Barberussie na rządy Algeru postąpił brat jego Szeridin, przezwany też

Barberussą, i niemniéj jak piérwszy odważny i biegły. Hiszpani pokusili się jeszcze raz na wyprawy pod rozkazami Monkady; ale straszna burza zniszczyła im połowę floty złożonéj ze 26 okrętów.

Szeridin widząc się ciągle pod strachem, wielkie podejmował prace na obronę stolicy swojego państwa; powiększył znacznie twierdzę, którą Hiszpani w algerskiéj skale zbudowali byli, i połączył ją z miastem pyszną kamienną groblą, któréj wnętrze zawiéra piękne magazyny i mieszkania dla wojska od bomb zabezpieczone. Mimo te wszystkie ostrożności, nie czując się on jeszcze dość mocnym, żeby się oprzeć napadóm Chrześcijan, poddał się ze swojém państwem pod opiekę sułtana prosząc go o wsparcie. Sułtan przysłał mu nieco swoich janczarów.

Wkrótce potém Szeridin zostawiwszy rządy Algeru jednemu przechrzcie Sardyńczykowi rodem, nazwiskiem Hassan-Aga, człowiekowi nieokroconéj odwagi i srogości, wyjechał sam do Konstantynopola, żeby bez-

pośrzednio traktować z sułtanem w sprawie Algeru.

WYPRAWA KAROLA PIĄTEGO W 1541 R.

Karol piąty widząc, że potęga Algeru wzrastała codziennie, i znając wszystkie nieszczęścia, jakie ztąd dla Chrześcijaństwa wyniknąć mogły, zamyślał oddawna ją zniszczyć. W 1535 robił on wyprawę przeciwko Tunis dla przywrócenia na tron Mukléj-Hassana, hołdownika Hiszpanii, zrzuconego przez Barberussę, i ta mu się wcale powiodła.

Nieobecność Szeridina zdawała się cesarzowi dogodną chwilą dla przywiedzenia do skutku swojego zamiaru. Oddawna już się nań przygotowywał. Wice królowie Neapolu i Sycylii powołali starych żołnierzy. W Hiszpanii wiele z ślacheckiéj młodzieży zaciągnęło się na tę niebezpieczną wyprawę. Ferdynand Kortez, zdobywca Mexyku wsławił się jak ochotnik z trzema swoimi synami. We Włoszech Kal-

lonny, Dorije, Spinozy zgromadzali najlepsze w kraju wojska.

Zebrane na brzegach Hiszpanii i Włoch wojska, wsiadły na floty hiszpańską i genueńską złączone pod rozkazami Andrzeja Dorii; najsławniejszego w ów czas admirała.

Dorija i Papież Paweł III wszystkich sił dokładali, żeby Karola piątego odwrócić od téj wyprawy, któréj złe powodzenie zdawali się przewidywać. Nic go wstrzymać nie mogło; siadł na okręt w Porto-Venere i udał się nie bez wielkich trudności do Majorki, placu zejścia się flot zjednoczonych. Flota Hiszpańska przybyła na końcu; niektóre z jéj okrętów, które niepogodny czas rozproszył, zwróciły się wprost do Algeru.

18 Października, 70 galer i więcéj niż 100 statków mniejszego kalibru wyżeglowały ku brzegóm Afryki. Wylądowanie odbyło się śpiesznie i porządnie. Armija składała się z 12,000 piechoty Hiszpanów, Niemców, Burgundczyków, Włochów i Maltańczyków, oraz 1,100 koni.

Nacierających Algerczyków silnie odparła piechota hiszpańska wspomagana artylleryją okrętową. Wojsko na trzy kolumny podzielone, pod wodzą Ferdynanda Gonzagi, cesarza i Kamilla z Kolonny, pomknęło się na przód i zajęło stanowisko między dwóma potokami. Jeszcze napad jeden nocny korzystnie był odparty, i 27 poczęło się oblęganie miasta. Gonzaga spędził Arabów z wyżyn jakie oni zajmowali na lewém skrzydle armii, a które im znaczną dawały przewagę. Śrzodkowe szyki prowadzone przez samego cesarza zajęły wzgórze (Sidi Jacob), gdzie dopiéro jest twierdza. Lecz skrzydło Hiszpanów ciągnęło się po wzgórzach nadmorskich na zachód Algeru. Tym sposobem miasto znalazło się dość mocno opasaném dla rozpoczęcia szturmu.

Ale najlepiéj wzięte ostrożności, nic nie nadadzą, kiedy na ich powodzenia żywiołów potęga wpłynąć może; tegoż wieczora wiatr gwałtowny południowo-zachodni chmur strasznych napędził, które roztworzyły się i przez noc całą lały strumieniami zimne-

go z gradem deszczu; żołnierze w zwyczajném odzieniu nie mieli nic dla ochrony, bo namioty były jeszcze w okrętach. Flotę burza strasznie miotając rozproszyła; wiele okrętów przewróciło się, wiele rozbiło się o brzegi, niemała ich liczba zbłąkała się lub zatonęła. Dzień 28 był również niepogodny jak noc uprzednia, brakło już żywności i nie było dostania jéj nadziei. Tym czasem Hassan-Aga korzystając z niepomyślnego oblegających położenią, zrobił wycieczkę i rozbił trzy kompanije most Bab-Arun zajmujące. Potém nowémi w mieście zapomogłszy się siłami, kawalerów maltańskich przełamał, aż sam cesarz z oddziałem niemieckiéj piechoty przybył na odsiecz, i nieprzyjaciela do odwrotu zmusił.

Podczas burzy, 150 statków i 8000 ludzi morze pochłonęło, trupy tych nieszczęśliwych i szczątki okrętów pobrzeże zaległy. W takiém nieszczęściu nie stracił przytomności Dorija, zebrał rozproszone floty u przylądka Matifu i pisał do cesarza, zaklinając go, żeby zaniechał swojego zamiaru

i z resztą wojska na okręty się zabrał. Karol piąty w smutnych tych okolicznościach zachował się jako człowiek stałego serca; trzymał się nieodstępnie swoich szyków, pozbawiał się wszystkiego żeby potrzebóm żołnierzy dostarczyć i zabijać kazał konie dla żywności wojska.

29 Hiszpani porzucili swoje z przed Algeru stanowiska i zaobozowali nad brzegami rzeki Arrach, która tak wezbrała, że niepodobieństwem było wbród ją przebydź, jak sobie życzyli; przez noc most zbudowano a nazajutrz wojsko na drugim brzegu stanęło. Koniecznóm też było rzucić most na Flamizie, żeby dójśdź do stanowiska okrętów; wojsko spoczywało na prawym jéj brzegu, a 31 na okręty zabiérać się poczęło bez najmniejszéj od nieprzyjaciela przeszkody. Ale gdy burza znacznie liczbę statków zmniejszyła, żeby ludzi wszystkich pomieścić, koniecznóm było wyrzec się i do morza wrzucić wszystkie konie, dla których miejsca zabrakło.

Skoro się tylko wszystko na okręty ze-

brało, ogłoszono wojsku rozkazem dziennym, że oblężenie Algeru odłożone jest do następującego roku i flota ku Bugii się zwróciła, gdzie dnia 2 listopada zawinęła, nie bez pewnych morskich szwanków, a między innémi, straty jednego okrętu o 400 ludziach. 16 Karol piąty dziękował wszystkim jenerałóm, którzy mu towarzyszyli, każdemu zostawił do upodobania wolną do powrotu drogę, wyjechał też sam i do Hiszpanii przez Kartagenę powrócił. Tak skończyła się wyprawa, która miasto zniszczyć do szczętu barbaryjskich łupieżców, dodała im tylko odwagi. Karol V przegraną swoję był winien tylko niewiadomości miejsca i charakteru nieprzyjaciół z którymi miał do czynienia.

Po odpłynieniu cesarskiego wojska, algerscy korsarze znacznie w liczbę i groźną postawę urośli. W 1663 książę Beaufort, obowiązany z małą hiszpańską eskadrą, śmiałość ich przytłumić, ścigał ich przeważnie, przygubił ich nieco, resztę zaś utrzymywać się w swych portach zmusił. Wkrótce po-

tém wylądował z 6,000 ludzi w Gigery, małém mieście o 50 mil od Algeru, ale niepogody zmusiły go po kilku potyczkach porzucić zajęte stanowiska.

Ludwik XIV postanowiwszy także położyć koniec wszystkim łupieztwóm barbaryjskich korsarzy, nieraz już swoim okrętóm kazał był ich ścigać, kiedy w 1682 roku P. Duquesne powierzył dowodztwo eskadry złożonéj z 11 wojennych okrętów, 15 galer, 5 galiot zbrojnych, każda dwóma moździerzami, i 3 branderów, z rozkazem bombardowania Algeru. Flota francuzka stanąwszy przy końcu sierpnia pod tém miastem, bombardowała je od dni kilku, lecz niepogody zmusiły ją nazad do portów Francyi zawinąć.

Następującego roku w miesiącu czerwcu szturm był ponowiony z wielkiém powodzeniem. Znaczna część miasta była już zwalona, déj kapitulacyi prosił, ale od własnych żołnierzy zabity. Nowy déj podobnemu miał uledz losowi, gdyż bomby co chwila strasznieJszém groziły zniszczeniem, ale poró-

wnanie dnia z nocą zmusiło P. Duquesne do cofnienia się; zostawił on wszakże kilka okrętów dla dokonania szturmu, i w 1684 Algerczykowie się poddali. Jednak wkrótce potém zaczęli oni znowu brzegi morza Śrzódziemnego pustoszyć i mieszkańców w niewolą zabiérać. Toż w 1687 i 88 Tourville i marszałek d'Estrées bombardowali Alger znowu, zatopili oni pięć okrętów, ale zaledwie odjechali, łupieztwo morskie rozpoczęto.

Podczas wojny o następstwo, Hiszpani wypędzeni byli z Oranu przez Maurów i Arabów którzy go zajęli. W 1732 roku Filip V wysłał książęcia Mortemart dla odzyskania tego miasta. Jenerał ten tak dobrze sobie począł, że we trzy dni po wylądowaniu, zniósł wojsko od 24,000 żołnierzy i miasto ze wszystkiémi jego przyległémi twierdzami pod moc hiszpańską przywrócił. Dzierżyła to miasto Hiszpanija do r. 1790, w którym straszne trzęsienie ziemi zniszczyło je do szczętu, co skłoniło króla Hiszpanii opuścić Oran, pod warunkami pewnego przymierza z dejem Algeru.

Karol III przykładem swoich przodków chciał także rozbojników tych wojować we własnym ichże kraju, i w 1775 O'reilly, który całéj jego używał ufności, mianowany był naczelnym wodzem armii złożonéj ze 30,000 tak jazdy, jak piechoty, najlepszego hiszpańskiego wojska, wraz z artylleryją 100 armat zbrojną. Wyprawa ta wcale się nie powiodła. Blizko 100,000 Arabów, Maurów i Barbaryjczyków odparło przy wylądowaniu armiją hiszpańską, która w krwawéj bitwie mnóztwo straciła ludzi.

W 1783 i 84 Hiszpani jeszcze kilka wypraw przeciw Algerowi przedsiębrali, mniéj nieszczęśliwych wprawdzie jak uprzednie, ale zawsze bez pewnego, trwałego wypadku.

Wyprawa lorda Exmouth'a w 1816.

Wojna przez lat 25 Europę trapiąca, nie dozwalała zwrócić uwagi na barbaryjskie stany, i Alger korzystał z tego, żeby się postawić na stopie groźnéj obrony. Dejowi, liczne jego korsarzy zdobycze, dostarczały

potrzebnych pieniędzy na załatwienie ogromnych wydatków, jakich wymagały roboty przez niego spełniane.

Okrucieństwa domierzone na kilku Anglikach, którzy na mocy traktatu znajdowali się w Bonie, ściągnęły lorda Exmouth z Gibraltaru 14 sierpnia, z 12 okrętów, 4 statkami do bombardowania i 2 innémi. Miał on z sobą jeszcze eskadrę hollenderską o 6 fregatach i 1 brygu.

Admirał angielski stawił się naprzód przed Algerem z 6 okrętów, 4 fregatami i 2 brygami, domagając się imieniem trzech mocarstw europejskich, obalenia niewolnictwa Chrześcijan. Déj odpowiedział na to rozkazem okucia w kajdany konsula angielskiego i przytrzymania wszystkich narodu tego poddanych, gdzieby tylko oni w jego znajdowali się posiadłościach. Lord Exmouth miasto użycia dzielniejszych śrzodków, przestał na odwołaniu się do decyzyi porty ottomańskiéj. Lecz, że gabinet angielski warunku tego nie był umieścił, wzmocniono eskadrę angielską i admirał otrzymał

rozkaz dobywania miasta, jeśliby déj nie przystał na uprzednie warunki.

Lord Exmouth stanął znowu przed tém rozbojników siedliskiem 27 sierpnia we 37 okrętów, z których 6 było hollenderskich i wskazał natychmiast, że król angielski domagał się niezwłocznego obalenia niewolnictwa Europejczyków, i wynagrodzenia szkód wszystkich, jakie świeżo poddani angielscy ponieśli, w rozmaitych jego dzierżawach.

Déj ze wzgardą odrzucił wszystkie przedstawienia admirała angielskiego, który podczas układów, bez najmniejszego niebezpieczeństwa zbliżył się do szańców grobli, i ustawił swoje okręty do szturmu. Okręt *Królowa Karolina*, na którym był lord Exmouth, tak zbliżył się do miasta, żeby wziąć na odlew groblowe szańce, że masztem na przodzie okrętu wiszącym domów sięgał. Déj udawszy się do bateryj groblowych i zmierzywszy rozporządzenie okrętów, strzelać na nie kazał. Admirał angielski nim ogień rozpoczął, dał znak ciżbie brzeg zalegającéj, żeby się umknęła, ale nie

był zrozumiany, i wystrzał pierwszego armat szeregu, zniósł wielką liczbę tych nieszczęśliwych, których reszta krzycząc przeraźliwie schroniła się. Ogień Anglików tak dobrze był żywiony, że i bateryje algerskie, i wojenne okręty w porcie stojące wnét umknąć musiały. Do dużéj blizko okrętu admirała angielskiego stojącéj fregaty, przyczepiona zręcznie palną materyją usposobiona płachta, rozniecіła się w jednéj chwili, a wiatr daléj ogień roznosząc, 5 fregat, 4 korwety i kilka szalup kanonierskich zażegł. Sklepione podziemne bateryje groblowe nie mogły bydź wyśledzone i nie mało oblegającym szkody przyczyniły, wiele okrętów było już bez masztów; toż 900 zabitych i 1500 rannych znacznie siłę eskadry angielskiéj zmniejszyło. Ku północy huk dział już był zwolniał, kiedy dwie algerskie fregaty całe w ogniu wiatr przypędził do angielskiéj floty, która musiała liny pozrywać i na pełne wysunąć się morze.

Podczas szturmu wszczęło się w mieście zamieszanie, i życie deja było zagrożone,

wysłał tedy on prosząc o pokój. Admirał który był prawie wszystkie swoje zapasy wyczerpał, i którego większa część okrętów nadwerężonych była, a co mu szturm ponawiać wcale nie dozwalało, przyjął z radością oświadczenie. Warunki przymierza były następujące: 1°, obalenie niewolnictwa Chrześcijan; 2°, uwolnienie bez okupu wszystkich trzymanych w kajdanach; 3°, powrócenie bardzo znacznéj summy, która nieco pierwéj dejowi była wypłaconą za okupno 370 niewolników neapolitańskich i t. d. Nakoniec 1000 niewolników Chrześcijan rozmaitych narodów było na wolność puszczonych i na flotę angielską oddanych.

Skoro tylko Algerczykowie stracili z oczu flotę, która ich tak srodze dojęła, rzucili się do naprawy swoich fortyfikacyj i stawiania nowych tak, żeby na drugi raz żadna eskadra nie mogła, jak owa lorda Exmouth'a wziąć grobli ich na odlew. W 1824 roku korsarze rozpoczęli byli znowu swoje wycieczki, gdy flota angielsko-francuzka wysłana przez kongres akwisgrański przybyła

dejowi oświadczyć postanowienie wielkich mocarstw wstrzymania tych morskich rozbojów. Odpowiedział on z przegróżką, że wypowie wojnę okrętóm wszystkich narodów, które nie zechcą mu płacić haraczu.

W 1824 roku Anglicy musieli znowu flotę do Algeru posyłać, domagając się odpowiedzialności za kilka dopełnionych grabieży; ten raz wszakże wszystko się drogą układów skończyło. W tym czasie nastąpiły poróżnienia między Francyją i Algerem.

Hussejn Pasza w 1818 r. władzę opanowawszy, zawsze się dla Francyi nieprzyjaznym okazywał. W 1824 roku pod pozorem kontrabandy kazał przetrząść dom konsula francuzkiego w Bonie; i dowolną naznaczył taxę od 105 po 10 na wszystkie francuzkie towary. Tak dotkliwe postępowanie, sprowadziło za pośrednictwem P. Deval konsula francuzkiego w Algerze nieporozumienia między Francyją a tém miastem. Już nieraz P. Deval wymawiał był dejowi całą niegodziwość jego postępowania, i groził zerwaniem wszystkich stosun-

ków, jeśliby wprędce nie poprzestał krzywd wyrządzać, kiedy razu jednego przybywszy do pałacu ze wszystkimi rezydentami europejskimi, dla zrobienia wedle zwyczaju grzeczności dejowi w święto bajramu, książę ten wszedłszy z nim w rozprawę, tak dalece się uniosł, że go w twarz uderzył oganką od much, którą w ręku trzymał.

Skoro tylko król francuzki dowiedział się o téj zniewadze, posłał wnet konsulowi rozkaz opuszczenia Algeru. Zaledwie konsul na okręt się zabrał, déj rozkazał rządcy baszy zniszczyć wszystkie zakłady francuzkie utrzymujące się od XV wieku w sąsiedztwie tego miasta, a mianowicie twierdzę *la Calle* zbudowaną dla osłony połowców korali. Arabowie i Barbaryjczykowie, którym to zlecono było przy końcu miesiąca czerwca w perzynę wszystko tam obrócili, i ledwo Europejczykowie znaleźli dosyć czasu, żeby się unieść.

Takie zgwałcenie prawa narodów ukarane było blokadą wszystkich portów posiadłości Algeru, co kosztowało przez lat 3

po 7 milijonów rocznie, bez żadnego pewnego wypadku.

W 1829 roku Karol X postanowił skuteczniejszych użyć śrzodków dla skończenia téj niekorzystnéj a kosztownéj wojny, i ukarania Algerczyków. Za konieczne sobie uważał wszakże, przed rozpoczęciem wyprawy, któréj powodzenie wedle otrzymanych skutków przez Hiszpanów i Anglików, było wątpliwe, probować trafiać przez układy.

P. de la Bretonnière odebrał zlecenie przyniesienia dejowi skarg Francyi i ofiarowania mu warunków pokoju. Despota algerski przyjął dumnie francuzkiego posła, haniebne dyktował warunki, oświadczając, że wedle innych traktować nie będzie. P. de la Bretonnière widząc, że wszelkie porozumienie się było niepodobne, wsiadł na okręt *Prowancija*, który go był tam przywiozł; ale tylko co od brzegu odbił, wnet ze wszystkich bateryj poczęto do niego strzelać, póki za strzał armatni się nie oddalił.

Za powrotem P. de la Bretonnière do

Francyi, okrzyk wojny rozszérzył się powszechnie, i wkrótce potém przygotowania na silną wyprawę, dla ukarania Algerczyków, rozpoczęto.

WZIĘCIE ALGERU PRZEZ ARMIJĄ FRANCUZKĄ.

Rząd Karola X codzień mniéj przez naród cierpiany, nieszczęśliwémi wypadkami uprzednich wypraw zrażony, z wielkim wstrętem do wyprawy przeciw Algerowi zabierał się.

Cóżkolwiek bądź, z początkiem 1830 r. wielkie przygotowania w zbrojowniach lądowych i morskich były już poczynione. Liczna flota otrzymała rozkaz zgromadzenia się w porcie Tulonu, dla przewiezienia do Afryki armii, z końmi i całym jéj przyborem. Jenerał Bourmont wówczas minister wojny otrzymał naczelne dowodztwo armii, a admirał Vaporré floty.

Marynarka i lądowe siły tyle dołożyły starania, że mniéj niż we trzy miesiące, wszystkie przygotowania ukończone zostały,

armija od 37000 ludzi zgromadziła się w okolicach Tulonu, a flota ze 60 okrętów wojennych, 6 parowych batów i 200 przewozowych statków złożona, gotową była w porcie tegoż miasta na przyjęcie wojska.

Czeladź okrętowa składała się z 27000 ludzi, a kiedy armija pokłady zajęła, flota dźwigała 64000 ludzi, 4000 koni, artylleryją polną i osoczną, i żywność potrzebną dla całéj téj wyprawy na trzy miesiące.

Zbiéranie się na okręty poczęło się 11 maja, a skończone było 17; dopełniło się równie porządnie jak śpiesznie; a 25 w południe gdy wiatr południowo-wschodni wionął, admirał dał znak odbicia od brzegów, na wielką pociechę żołnierzy i majtków którzy znudzeni byli długą bezczynnością.

D. 30 o godzinie 11 zrana okręty przodkujące ląd odkryły. Wiatr był chłodny, flota skorym biegła pędem, kiedy znagła admirał dał rozkaz zmienić kierunek i zwrócić się na północ; statki od blokady oznajmiły mu, że brzeg był niedostępny i że dwa z nich zginęły nieszczęśliwie u przyląd-

ka Bingut. Admirał sprowadził armiją do przystani Palma (wyspa Majorki), gdzie dni 8 w najpełniejszéj bezczynności zostawał. Nareszcie 10 czerwca namyślił się ku Algerowi się zwrócić.

D. 12 czerwca o godzinie 5 zrana, Alger ujrzano; w 13 w dzień bożego ciała, o godzinie 9 zrana, cała flota w bojowym szyku, na strzał armatni, przeciągała przed tém miastem, kierując się ku przystani Sydi-Efrudi, gdzie wylądowanie miało nastąpić.

Bateryje przystań tę broniące były rozbrojone, a armaty ich przeniesione na dwa wzgórza od brzegów oddalone, gdzie nieprzyjaciel szańcowaniem się był zajęty.

Flota w porcie stanęła niepotrzebowawszy ziarnka prochu spalić, ale wkrótce potém, gdy admirał jednemu ze statków parowych kazał na bateryje algerskie działać, te strzał za strzał oddając, do wieczora nie przestały ognia dawać bez żadnéj dla Francuzów szkody.

Skoro tylko zmierzkać poczęło, przy-

gotowania do wylądowania poczyniono. Żywność, ammunicyje i sprzęt obozowy żołnierzóm rozdano. Szalupy i wszystkie baty płaskie, jakie na okrętach przywieziono, spuszczono na morze; a o godzinie 3 zrana piérwsza dywizyja armii wiedziona przez jenerała Bertheren, z bateryją artylleryi, pod zasłoną trzech parowych statków, niepostrzeżona od nieprzyjaciół, do brzegu przybiła. Wojsko, na brzeg wysadzone, obrało stanowisko na piaszczystych wzgórzach Sydi-Efrudi, żeby zasłonić lądowanie, które w największym porządku i z całym pośpiechem się odbyło.

Równo z brzaskiem odkryło nieprzyjaciół zgromadzonych w dość znacznéj liczbie około swoich bateryj. Jedna korweta i dwa brygi otrzymały razkaz posunięcia się ku lewéj ich bateryi, żeby jéj odstrzeliwać. Jak tylko słońce weszło, nieprzyjaciel rozpoczął kanonadę, któréj artylleryja francuzka lądowa i trzech okrętów, odpowiedziała bez wielkiego skutku.

Gdy kule Algerczyków poczęły szeregi

francuzkie przerzadzać, naczelny wódz kazał bateryje ich atakować, brygadóm *Achard* i *Poret de Marian*, które wzięły je z niezachwianą odwagą.

Obóz nieprzyjacielski naprzeciw nas położony, powiększał się co dzień nowémi hordami, które w oczach Francuzów przybywały i nadbiegały co chwila ucierać się z ich przedniémi strażami. Maurowie z Turkami połączeni, usypali przed swoim obozem mocną bateryją; też Francuzi szańcowali się ze swojéj strony.

Z 18 na 19 w nocy, nieprzyjaciele Turcy, Maurowie, Arabowie i Barbaryjczykowie, w bojowym szyku przysunęli się blizko bardzo do armii francuzkiéj, naprzeciw półwyspu, gdzie na brzeg wysadzono wielką część artyleryi, bagażów, amunicyi z żywnością. Skoro tylko dzień zaświtał, nieprzyjaciel wrzeszcząc przeraźliwie, zwalił się na francuzkie przednie straże, przełamał je i do bojowéj przebił się linii, gdzie gorąca zawzięła się utarczka: francuzkie lewe skrzydło zwinęło się na chwilę; ale sprawiwszy się

nieco, nawróciło się do boju, i piérwsze swoje stanowisko odebrało. Ucierano się zajadle na całéj linii; trzy statki, które na lewém skrzydle stanowisko swoje zachowały, a na prawém statki parowe, przyczyniały się dzielnie, wymierzonym dobrze ogniem do wstrzymywania nieprzyjaciela. Nareszcie jenerał Bourmont dał rozkaz natarcia krokiem podwójnym; nieprzyjaciel zemknął, a w nagłym pośpiechu opuszczając oboz, do którego żołnierze francuzcy pospołu z nim wpadli, zostawił w ich ręku żywność, nagromadzone amunicyje i wielką liczbę wielbłądów.

Przegrana pod Staneli przeraziła Algerczyków. Wielka część Barbaryjczyków i Arabów oddzieliła się i algerska armija zeszła do 10 lub 12000 ludzi. Ci ochłonąwszy ze strachu, rozłożyli się na pochyłości wielkiéj równiny, którąśmy przebydź potrzebowali, aby stanąć przed Algerem i twierdzą cesarza.

Chwiejący się, niepewny jenerał Bourmont, przetrzymał wojsko dni cztéry w tém stanowisku, wystawione na działanie ar-

tyleryi nieprzyjacielskiéj, która mu wiele ludzi zmiatała; nareszcie piątego dnia w nocy zdobył się na rozkaz pełnego natarcia. Nieprzyjaciel znagła podchwycony, nie znalazł czasu o obronie pomyślić, i cofnął się w nieporządku, pod zasłonę dział twierdzy cesarza. Wzniesiono szaniec naprzeciw téj twierdzy, któréj upadek oczywiście miał Francuzóm miasto poddadź. Przez dni pięć żołnierze ich wszelkiéj broni pracowali nad wzniesieniem okopów i bateryj z bohatyrską odwagą, pod ogniem 50 armat i wielu moździerzy, które im bardzo szkodziły. Przez ten czas Francuzi nie dali ani jednego armatniego strzału; ale piątego dnia, odsłoniono nasze bateryje, które tworzyły półkole przed tą twierdzą, i o godzinie 10 zrana do takiego zniszczenia ją przywiodły, że nieprzyjaciel nie mogąc tam dłużéj zostać, wypróżnił ją zostawując tylko trzech murzynów, którzy podłożyli ogień w prochownie i razem się na powietrze wysadzili.

Wybuchnienie to żadnéj szkody nie przyczyniło armii francuzkiéj, która wkrótce po-

tém posunęła się na przód i oszańcowała się na zwaliskach zamku. Niektóre tam pozostałe armaty, obrócono też przeciw Algerowi, który wnet attakować za konieczną uznano. Ale deputacyja wysłana od deja i municypalności, oświadczyła poddanie miasta pod pewnémi warunkami. Jenerał obawiając się, żeby déj nie wysadził na powietrze ze wszystkiémi swojémi skarbami, kapitulacyi dopuścił i nazajutrz o południu armija francuzka spokojnie w posiadłość zajęła miasto î twierdze Algeru, tego siedliska rozbojników, którzy od lat trzystu tyle szkód Europie czynili.

Wzięcie Algeru przyniosło zwycięźcy w korzyści 1500 armat i ammunicyją na tę groźną artyleryją, dostateczną na żywienie jéj przez lat trzy, skarb od 50 milijonów, towarów rozmaitego gatunku i eskadrę, któréj najmocniejszémi statkami były, 4 fregaty, od lat trzech na bezczynność skazane przez blokadę francuzkich okrętów.

Zwycięztwo armii francuzkiéj w zniszczeniu zupełném rozbojnictwa morskiego,

zamknęło jednę z najboleśniejszych ran jakie kiedykolwiek ludzkość udręczały i pomściło się za Europę wszystkich krzywd, jakie Alger od tak dawna wyrządzał (3).

Skoro tylko armija francuzka Alger zajęła, wokoło tego miasta się zgromadziła; oboz z Sidi-Efrudi i wszystko co tam na brzeg wysadzono, przewieziono morzem do zbrojowni i składów Algeru. Wojska, które okolice tego miasta zajmowały, wzniosły okopy na najważniejszych stanowiskach i uzbrojono je działami zdobytémi na nieprzyjacielu; twierdzę cesarza naprawiono, osadzono tam załogę i przód na pole obrócony wzmocniono. Tém potrzebniéy było zabezpieczać się podobném rozporządzeniem, że béj Titery, świéżo agą mianowany w zastępstwie tego, który przywodził bitwie pod Sta-

(3) Między znaczniejszémi osobami które niewolą cierpiały w Algerze, przytoczymy tylko dwóch sławnych naszych ludzi: komika Regnard który nam historyją swojéj niewoli zostawił, a w dzisiejszych czasach pana Arago, astronoma i dożywotniego sekretarza Akademii nauk.

neli, a którego déj za przegranie onéj złożył, zostawał jeszcze na czele dość znacznéj siły, którą niepokoił ciągle francuzkie przednie straże i groził odebraniem Algeru.

Już dłużéj miesiąca byliśmy panami Algeru, niektórzy z jenerałów wrócili już do Francyi, zajmowano się zabraniem na okręty skarbu, wielu towarów i kosztownych rzeczy w Kasbie znalezionych, kiedy znagła rozbiegł się między wojskiem odgłos lipcowych wypadków. Wątpiono na chwilę o tak nadzwyczajnych zdarzeniach, które tylko przez listy prywatnie się rozgłosiły; za przybyciem urzędowych doniesień, wojsko wzięło barwę i chorągiew narodową, bez wstrętu i bez skwapliwości; największy porządek trwać nie przestał i żadnego rokoszu wojsko nie okazało. Wkrótce po wywieszeniu trójkolorowéj chorągwi, wojsko dowiedziało się o odjeździe swojego naczelnego wodza, który miał bydź zastąpiony przez jenerała Clauzel wielce sławionego z talentów wojskowych.

Jenerał ten przybył do Afryki 2 września i niezwłocznie objął dowodztwo nad woj-

skiem. P. Bourmont złożył swoje pożegnania armii a nazajutrz do Hiszpanii wypłynął na brygu austryackim. Piérwszém staraniem jenerała Clauzel było wrócić nieco rozprzężoną karność, zapobiedz szkodóm, jakie żołnierze po kraju zrobili, gdzie wycinali drzewa, palili zagrody i burzyli domy.

Béj wszakże nie przestawał czynić swoich wycieczek, a jego przednie straże koczowały w około naszego obozu, żeby zabijać ludzi co się zeń oddalali. Mocne wzwiady były nieraz już wysyłane w różnym kierunku żeby go podchwycić; ale nigdy w to potrafić nie zdołano. Rzadko od gór wybaczał, i natychmiast się wstecz cofał, skoro się zagrożonym ujrzał. Zrozumiał to dobrze jenerał Clauzel, że póty spokojnym nie będzie, póki wodzowi temu sił nie odbierze; postanowił więc go ścigać aż w gór śrzedzinie.

D. 17 listopada 1830 roku oddział z 8000 złożony, z dwiema bateryjami artylleryi, pod wodzą jenerała Clauzel, wyruszył z Algeru ku Medei. Tam kilkaset Arabów i Barba-

ryjczyków stanąwszy na drugim brzegu głębokiego wąwozu, miasto zasłonić i pochod wojska wstrzymać chciało; ale za piérwszém natarciem francuzkich strzelców, tył poddali i kryjąc się po chróstach pojedynczémi strzałami do nocy się bronili. Belidę wzięto bez wystrzału; mieszkańcy w góry się schronili, zostawując miasto na łup francuzkim żołnierzóm. Nazajutrz rano wysłano kilka kompanij na piérwsze garby Atlasu, dla spędzenia ztamtąd nieprzyjaciela, który się uprzykrzał i przeszkadzał francuzkim żołnierzóm wodę czerpać z krynicy, u podnoża góry, ciekącéj.

D. 20 o godzinie 6 zrana wojsko daléj pociągnęło zostawiwszy dwa batalijony załogą w Belidzie. D. 21 o świcie, wązką i trudną bardzo drogą puściła się armija na przebycie piérwszego pasma Atlasu. W pół drogi stromego bardzo wąwozu, Barbaryjczykowie, Arabowie i Turcy połączeni w dość znacznéj liczbie uderzyli na nię, i gęsto strzélając, ze stanowiska na stanowisko ustępowali aż do wąwozu Tenija, gdzie droga zmierzała.

Wąwozu tego broniło 2000 ludzi, był on ciasnego otworu i stroméj pochyłości: z obu stron takowego przejścia nieprzyjaciel po dwa działa osadził, a wojsko jego na prawo i na lewo rozrzucone zdawało się do silnéj zabiérać obrony.

Wódz naczelny dał rozkaz dwóm półkóm wedrzeć się na góry nad naszą lewą wznoszące się i grzbietem ich ciągnąć dla okrążenia stanowiska nieprzyjaciół, podczas kiedy reszta armii pójdzie inszą drogą, na któréj się znajdowała. Jenerał Achard, który był w przedniéj straży z batalijonem 37 półku, stanąwszy u ujścia wąwozu, znalazł nadto blizko nieprzyjaciela, żeby nań nie uderzyć; kazawszy więc żołnierzóm tłomoki zrzucić, bagnetami wyprzeć nieprzyjaciela ze stanowiska zalecił, nie czekając nim wojska dla okrążenia jego wysłane, obrót swój wykonają. Natarcie to udało się najpomyślniéj; ale wypuszczono nieprzyjaciela, który na Medeję się zwrócił.

Nazajutrz rano ku temu dążyliśmy miastu, w nadziei opanowania go w dniu je-

dnym. Ciaśniny zostające do przebycia, żeby u stop Atlasu stanąć, były źle strzeżone, ale kiedy je opuszczając na płaszczyznę wynurzyliśmy się, nieprzyjaciel bronić nam chciał przechodu; kilka działowych wystrzałów podołało te rozproszyć dzikie hordy, które rozbiegły się przeraźliwe krzyki wydając. O zachodzie słońca armija przed Medeją stanęła. Mieszkańcy, zmusiwszy deja zwyciężonego cofnąć się z trochą pozostałych mu wojsk, wyszli gromadą naprzeciw Francuzóm, prosząc o zachowanie osób ich i własności. Nazajutrz béj Titery nie mając już sił dosyć, żeby się od Barbaryjczyków obronić, a bojąc się w ich ręce się dostać, przyszedł poddadź się Francuzóm z całą swoją familiją i około 200 janczarów jemu pozostałych. Wojsko dni 4 odpoczywało w Medei, a 25, zostawiwszy załogę w tém mieście, zwróciło się do Algeru.

Aż do Belidy nie dano żadnego wystrzału; ale zbliżając się do tego miasta, gdzieśmy za naszego przechodu dwa batalijony zostawili, znaleźliśmy je najechane przez

wodza barbaryjskiego Bonzamum, który z 6000 ludzi wpadł na naszę załogę. Barbaryjczykowie ustąpili natychmiast postrzegłszy armiją francuzką do boju stawającą. Dniem pierwéj wpadli byli do miasta, gdzie krwawa była utarczka, przy Francuzach wszakże zwycięztwo zostało. Nazajutrz armija opuściła Belidę zupełnie zniszczoną, a ciągnąc za sobą nieszczęśliwe ludności jéj resztki, stanęła w Algerze 29 listopada we 13 dni po wyjściu swojém ztamtąd.

Francyja zachowa-li Alger i jego żyzną dziedzinę? Zdoła-li go osadami zaludnić? trudno wyrzec. Rzymianie kosztem czasu i wytrwałości, potrafili wielkie i kwitnące urządzić osady na północném Afryki pobrzeżu; jest do żądania aby Francuzi tegoż dokazali; interes ludzkości i cywilizacyi tego wymaga; ale wielkich do przezwyciężenia doznają trudności, z tych najgłówniejsze są obyczaje barbarzyńskie i dzikie mieszkańców, fanatyzm ich religijny, którego charakter francuzki oszczędzać nie umiał, nareszcie bezpieczne schronienia jakie

im dają góry, z których będą mogli zawsze wybiegać, żeby europejskie osady napadać i niszczyć.

(Rozet (4). *L'univers pittoresque, ou histoire et description de tous les peuples, de leurs religions, moeurs coutumes* i t. d.)

---

(4) Wyciąg niniejszy przez samego autora jest zrobiony z dwu własnych dzieł: *Opis wojny afrykańskiéj* 2 vol. *Podróż do regencyi Algeru* 3 vol. z atlasem.

WASHINGTON IRWING.

Długo jeszcze po uznaniu niepodległości Stanów-Zjednoczonych, przez rząd Wielkiéy-Brytanii; krytycy angielscy wzbraniali się przyznać istnienia literatury amerykańskiéj. Ziomkowie Washington'a i Jefferson'a, mieli ojczysty przemysł, własną flotę i siłę zbrojną lądową; lecz książki, musieli czytać tylko te, jakich im dostarczył Londyn lub Edymburg. Wolno im było walczyć o piérwszeństwo z fabrykami Linkolnu i Manczesteru, tkać własne sukna, sporządzać własne wyroby stalowe; słowem wszystko co przyswoić jest zdolny przemysł ludu miłującego sztuki pożyteczne i mechaniczne;

lecz nie śmieli myśleć nawet o wyzwoleniu narodowego w literaturze smaku, mieć innych poetów, innych romansistów, innych pisarzy filozoficznych, a szczególniéj innych krytyków, prócz tych jakich ojczyzna-matka odszczepionym swym dzieciom udzielić raczyła. Krzysztof Kolumb, znalazł dla siebie wieszcza w Joelu Barlow'ie; dwaj współcześni Washington'a historycy, przekazali potomności życie tego wielkiego męża kształconego na wzór bohatyrów Plutarcha; Stany-Zjednoczone mogły postawić naprzeciw sławnego Godwin'a, romansistę który ustąpiłby zaledwo autorowi *Kaleba Willijam'a*, J. Brekkdena Browna autora *Willanda, Edgara Huntly* i t. d.; kongres, równie jak parlament, albo izba niższa miał swoich publicystów i mówców; a jednakże Aristarchowie trzech królestw nie przestawali porównywać amerykańskich autorów do ptaków téj części świata podrzeźniaczami zwanych, zdolnych naśladować głosy wszystkie, lecz niemających własnego śpiéwu.

Piérwszy Washington Irwing zmusił do odwołania téj osobliwszéj, wyłączaczającéj krytyki; on to piérwszy został ogłoszony oryginalnym pisarzem Ameryki Północnéj; podczas gdy przez szczególny rodzaj sprzeczności, jaką się pocieszała bydź może pokonana duma Aristarchów angielskich; Irwing uwielbiany był przez nich jako wskrzesiciel stylu Addison'a i Golszmid'a, stylu, którego cechy zatracone przez pisarzy angielskich i amerykańskich dziewiętnastego wieku, on jeden odzyskał i wznowił.

Washington Irwing jest najmłodszym synem kupca szkockiego, osiadłego w New-Yorku. Matka jego Angielka, zajmowała się sama początkowém jego wychowaniem; poźniéj, przewodnikami jego w literaturze byli starsi bracia, znani już poniekąd z talentu, kiedy młody Washington Irwing uczył się czytać zaledwo. Wychowanie ich odznaczało się przez to dumanie prawie rzewne i te niespodziane wyskoki, jakie spostrzegać się dają w jego pismach.

Lecz równie zapalony do swawoli jak do nauk, był prawdziwym studentem: ochotnie stawał do wszystkich figlów i psikusów dziecinnych, jakiémi pogardzają przedletni sensaci, których umysł wzięty w przedwczesne kluby, przez dumę pozbywa się wszelkiego popędu młodocianéj szczeroty. Uczył się nie rwąc się do tworzenia: przygotowywano go, aby się z czasem stał człowiekiem; zamiast przedwczesnego wymagania od dziecka, obowiązków i godności przyzwoitych dojrzalszemu wiekowi. Tym sposobem umysł jego rozwijając się przyrodzónym porządkiem, dojrzał mniéj wcześnie niżby mógł, lecz za to nie ronił przedwczesnych płodów. Z tego to powodu wspomnienia dzieciństwa były mu drogiémi zawsze, w nich on znalazł nie jedno pełne powabu natchnienie.

Młodzież new-yorkska była natenczas szczęśliwém pokoleniem. New-York nie wyglądał ieszcze na stolicę: było to rodzące się miasto, gdzie powaby wzrastających dostatków, łączyły się z wygodami wewnę-

trznéj pomyślności i łatwością słodkiéj swobody i rozrywek prawie wiejskiego życia. Korzystne położenie portu, ściągało napływ piastrów do skrzyń jego handlarzy; bo wtedy jeszcze mieszkańcy innych części kraju, nie zbiegli się dopominać należnéj im cząstki zysku, osiadając w okolicach tego szczęśliwego punktu. Nadto dawni mieszkańcy miasta, jakby z nieba zasypani manną zysków handlowych, mniéj się troszczyli o przyszłość starając się raczéj używać chwil obecnych, i nie uznawali jeszcze za konieczność przyzwyczajać dzieci do karności w pracy i prowadzeniu się. Chciwość rodząca się z nawyknienia do zysków, zazdrośny egoizm miejscowego współubiegania się, serc nie zlodowaciły. Wpośrzód familij nagle zbogaconych widna tam była jeszcze patryjarchalna obyczajów prostota; wierzono w szczęście domowe. Nie poruczano dzieci każdego dnia, na dziesięć godzin, kupnym staraniom nauczycieli; znajdując dosyć czasu do zajęcia się osobiście ich wychowaniem, lękając się, aby zaduch szkolny nie

miał zgubnego wpływu na ich zdrowie; wysyłano je na czyste pól powietrze; a okolice New-Yorku dziwną nastręczały dogodność do podobnego sposobu wychowania. Kilkaset kroków dostateczne były, aby przenieść młodzież miejską, wpośrzód zieleni łąk, w zacisze świéżych gajów, na pięknych wód brzegi; które zimą okryte grubym lodów kryształem, zachęcały zręcznych biegaczów na łyżwach, do nieustępowania w tém ćwiczeniu przodkóm ich Hollendróm. Położenie New-Yorku było natenczas prawdziwie malownicze; w Europie, jeden Edymburg mógł z nim ubiegać się o piérwszeństwo w tym względzie. Dzisiaj, te wiejskie okolice zniknęły całkiem: bruki i mury zamieniły zieloność drzew i murawy; ogrodnicy ustąpili miejsca mularzóm; drogi żelazne zniszczyły nawet chłodne groty Hobokenu.

Młody Washington Irwing zachwycał się szczególniéj pięknością przyrodzoną wyspy Manhattan. W wielu jego dziełach przebijają się zarysy piérwszych wrażeń młodości; ale fałszywy wstyd cywili-

zowanego człowieka, kazał mu się lękać, aby opiewając we własném imieniu czasy ubiegłe, nie zdał się bydź nazbyt romansowym dla spółczesnych; i dla tego, żale poety głosi zmyślona osoba.

New-York przed pięciądziesiąt lat przedstawiał szczególny widok rozmaitych pokoleń, różnych od siebie pochodzeniem, charakterem i rysami twarzy; ubiegających się o dziecinną nad drugiémi przewagę. Wiele takowych sporów przez czas oszczędzonych; przedstawiają śmiészną prostotę. Wszystkie odcienia pierwiastkowéj ludności, zlały się dziś w jedno; lecz wtedy, Amerykanie pochodzący z Hollandyi, z religijną troskliwością, pielęgnowali swój język, i niechęć zwycięźonego ludu, złagodzoną zaiste przez wrodzoną im dobroduszność. Z Holendrami zamalgamowali się protestanci francuzcy, nantejskim edyktem wygnani; żywość ich narodowa zmniejszyła nadmiar flegmy batawskiéj. Po nich następowała szlachta i stan rycerski staréj Anglii; dumni swojém pochodzeniem, wspominający ustawicznie swych

przodków, przybyłych do New-Yorku, podczas, gdy osady hollenderskie stały się angielską prowincyą, podbite i ustąpione przez Karola II bratu jego książęciu Yorku. Daléj dawali się widzieć nowi-Anglicy (*new-Englander*), właściwi Amerykanie, odznaczający się przezorną działalnością, idący w zapasy z Hollendrami, które się skończyły całkowitém prawie zniknieniem nazwisk dawnych burmistrzów, w narożnych po ulicach ogłoszeniach handlowych. Nakoniec ostatni, najmniéj liczni, w téj pomieszanéj ludności, lecz za to mający przewagę nad tymi, bogactw i wpływów handlowych Szkoci, stanowili klan ludzi chytrych, wyrachowanych, przedsiębierczych, łączących do przebiegłości i oszczędności, gościnność i zamiłowanie w sutych ucztach. Oswojony od dzieciństwa z charakterami tego pokolenia w rodzicielskim domu, Washington Irwing, mniéj był uderzany rysami ją znamionującémi i albo że uszanowanie synowskie nie dozwoliło mu oddadź ich w satyrycznych obrazach jego *Historyi Nowego*

Yorku. Wszystkie te odcienia zatarły się dzisiaj.

Washington Irwing kończył lat dwadzieścia, gdy niektóre symptomata słabości piersiowéj, w porę dostrzeżonéj, na szczęście, obudziły troskliwość familii o jego zdrowie; która go za radą lekarzy, wysłała na wędrówkę do południowych krajów Europy. W skutek czego wsiadł na okręt odpływający do Bordó. Z tego portu udał się do Rzymu, przez Tuluzę, Montpellier, Marsyliją, Niceę, Genewę, Liworno i Florencyją. Zdrowie jego polepszyło się niebawnie; lecz zamiłowanie w podróżach, przeżyło powód ich rozpoczęcia. Opuściwszy Rzym pojechał do Neapolu, stamtąd zrobił wycieczkę do Sycylii, zamieszkał czas niejaki w Palermo; wróciwszy, zwiedził Włochy i Szwajcaryją. Nakoniec zażądał widzieć Paryż: przepędził w nim kilka miesięcy, odwiedzając biblijoteki, uczęszczając do zakładów naukowych i towarzystw literackich. Amerykanin, nikomu nieznany natenczas, był jednakże wszędzie z uprzejmością i względa-

mi przyjęty, bo wdzięk obejścia się i szlachetność postępowania mówiły za nim; te talizmany otwiérają wszystkie domy najoświeceńszych ludów Europy. Po kilkomiesięcznym pobycie w stolicy Francuzów ciekawy był widzieć Niderlandy, ten ziemnowodny naród, który założył niegdyś jego rodzinne miasto. Nakoniec z Holandyi, gdzie często odbywał przejażdżki po kanałach, wsiadł na szalupę, która idąc w górę Tamizą w Londynie go wysadziła.

Ludy, które poznał dotąd, zajmowały go nasycając ciekawość; ale w Wielkiej-Brytanii, wszystko co widział i co słyszał, obudzało w jego duszy znajome echo. Tu każdy mówił jego ojczystym językiem, tu rozpoznawał miejsca, o których matka prawiła mu tylekroć w dzieciństwie. Najmniéj znaczące przedmioty, żywo go poruszały; bo przesąd narodowéj nienawiści, nie zatłumił w nim nigdy wrodzonego pociągu serca do miejsc, które były kolebką jego rodziny.

Zbogacony różno-stronną nauką i zasobami natchnień poetyckich, Washington

Irwing, wrócił do Stanów-Zjednoczonych po dwuletniém oddaleniu. Niezwłocznie po jego powrocie zjawił się piérwszy numer *Salmagundi* (*). Czytającym to pismo dzisiaj po raz piérwszy, trudny jest do pojęcia zapał, z jakim przyjęte były naówczas jego sposzyty wychodzące następnie po sobie (**). Widać w niém twórczy talent, którym Irwing zasłużył sobie głosne imie w literaturze; lecz żeby sobie zdadź rachunek z nadzwyczajnéj popularności tego pisma, trzeba się przenieść w sferę zdarzeń i okoliczności owoczesnych; zrozumieć niezliczone zastosowania i napomknięcia, przeniknąć całą ostrość rysów dowcipnéj satyry z natury branych, którym tylko nazwisk nie dostawało. Skąd inąd aż do tego czasu, literatura amerykańska istniała wyłącznie w postaci po-

(*) Piérwotnie wyraz ten oznacza potrawę z rozmaitego mięsa siekanego z oliwą i octem coś nakształt winegretu. (*Pr. t. p.*)

(*) Piérwszy numer tego satyrycznego czasopisma wyszedł 24 stycznia 1807 roku ostatni 25 stycznia 1808. (*Pr. au.*)

ważnych sporów polityki miejscowéj lub powszechnéj; jeszcze nie była nadeszła pora, sprzyjająca dowolnym utworóm wyobraźni. Brokden Brown nawet zyskał sławę jedynie pośmiertną.

Jakób Paulding ścisłą z Washington'em Irwing'iem złączony przyjaźnią był współwydawcą *Salmagundi*; powiadają nawet, że pióro Paulding'a więcéj miało uszczypliwości i jadu. Zdaje się jednakże, iż z pewnością twierdzić można, że w serdecznéj poufałości spółwydawców, każdy z nich mocen był dowolnie dodadź lub ująć, co mu się podobało, w artykule drugiego.

Jakób Paulding urodzony we wsi *Geensburgu*, przepędził piérwsze lata młodości, wśród prac i rozrywek wiejskich; pod cieniem odwiecznych lasów w czarujących okolicach Hudsonu. Pewien dzierżawca w majątku jego rodziców dostarczył mu rysów na bohatyra *Mój stryj Jan* umieszczonego w 11 sp. *Salmagundi*. Paulding obdarzony od przyrodzenia prawdziwie malowniczą wyobraźnią, odznacza się szczegól-

niéj wdziękiem obrazów; pełen trafnych i niespodzianych wyrażeń niszczących monotoniją opowiadania, był godnym współpracownikiem Irwing'a. Mówią o szczególnym dowodzie prawdziwości jaką tchnęły wizerunki pióra dwóch przyjaciół. Jeden z najbardziéj uderzających był Tom Stradle, zabawny szkic torysa angielskiego; którzy, jeśli się im zdarzyło zwiedzić salony New-Yorku, nie omieszkali nadużyć przywileju gościnności. Kilka lat temu, wydawcę świstka krytycznego w Jamajce zapozwano o potwarz. Oskarżony stanął przez sądem, w jednéj ręce z mniemanym swoim paszkwilem, w drugiéj, mając sposzyt *Salmagundi*. «Panowie» rzekł do sędziów: «M*** poznał siebie w portrecie, którego autorowi ani śniło się o nim zapewne, artykuł ten nie jest mego pióra, jam go przedrukował tylko: proszę czytać i porównać.» Przekonano się że przedrukowanie było dosłowne, i podróżujący Anglik tak trafnie przez Washington'a Irwing'a przepowiedziany, musiał cofnąć zaskarżenie.

Drugim płodem literackim Washington'a Irwing'a była *Historya New-Yorku* przez Diedricha Knickerbuker'a. Zdaje się, że pomysł tego humorystycznego pisma nastręczyło mu, ustanowienie towarzystwa historycznego w New-Yorku, które ogłosiło, że jeden z członków jego, obowiązany jest zająć się układem kroniki osad od ich założenia. Washington Irwing wcielił się myślą w potomka jednego z piérwszych osadników batawskich; przywłaszczył sobie uczucia i przesądy tego pokolenia, z takim wyrazem powagi i prawdy, że te uwodzą całkiem nieprzestrzeżonego czytelnika. Publiczność przygotowaną była sztucznie ułożonémi ogłoszeniami i złudzenie stało się zupełném. Lecz ci którzy przyjęli to dzieło w dobréj wierze, postrzegli się przeczytawszy kilka rozdziałów, że mistyfikacyja satyryczna nie jest nie do przeniknienia. Całe towarzystwo współczesne ze swémi dziwactwy i śmiésznościami, znalazło się przedzierzgnięte w dawnych burmistrzów i *Schepensów*. Jednakże w gruncie

téj igraszki dowcipu żartobliwość była tak niewinną, tak dobroduszną, tak wykształconym tchnąca smakiem: że nie można było nie przebaczyć jéj autorowi. Uwielbiano także wiele miejsc pełnych rozdzierającéj czułości, oraz moc i oryginalność obrazów godnych pęzla Klaudiusza Lorrain'a. Zmyślona ta historyja New-Yorku miała nietylko miejscowe powodzenie; zyskała sobie wziętość we wszystkich Stanach-Zjednoczonych, a nawet w Anglii. Czystość stylu autora dała poznać krytykóm Edymburga i Londynu, że piękne wzory z czasów panowania Anny królowéj, zaniedbane przez ojczystych pisarzy, znalazły wierniejszych naśladowców w Ameryce. Tego spostrzeżenia chwycili się Amerykanie, głosząc Washington'a Irwing'a swoim Addison'em i Goldsmith'em powtórzyli jedynie mimowolne, przez zadziwienie wydarte, wyznanie arystarchów ojczyzny-matki. Washington Irwing ze swojéj strony okazał się bydź wdzięcznym za tę bezstronność, ogłaszając drukiem w poźniejszym czasie *Sketh-Book*

(księgę szkiców) i *Bracebridge-Hall*, a nie poświęcił się jednak zupełnie zawodowi literackiemu, aż po pewnym jeszcze czasu przeciągu. Piérwsze jego dzieła były płodami chwil wolnych od zatrudnień stanu, którego jałowe prace nie nazbyt pozwalają zwolennikóm swoim oddawać się umysłowym zabawóm. Washington Irwing był natenczas *Attorney at law*, prozaicznym adwokatem, albo raczéj na godle umieszczoném nade drzwiami mieszkania, nazwisku jego, towarzyszyła ta godność. Lecz razu jednego ktoś mu przyniósł sprawę wielkiéj wagi, tak, że wątpiąc, aby mu własne zdolności wystarczyły do doprowadzenia jéj ku pożądanemu końcowi, wbrew nazwaniu swemu, doradził skromnie klijentowi, aby dokumenta swe powierzył bieglejszemu odeń prawnikowi.

Godło Temidy znikło wkrótce z nade drzwi tak sumiennego człowieka; lecz bracia nie chcieli ograniczyć dochodów jego, jedynie do wątpliwych korzyści z pióra. Nie było jeszcze wtedy w New-Yorku Longman'ów

i Murray'ow, którzyby płodóm literackim wartość handlową naznaczyli. Washington Irwing przyjęty został przez braci do współki w ich handlu, z wolnością zupełną niezajmowania się z większą troskliwością handlowémi księgami, aniżeli wprzód to czynił z księgami praw i zwojami zbutwiałych papierów.

Tym czasem wojna Stanów-Zjednoczonych z Wielką-Brytaniją ozionęła całą młodzież amerykańską marsowym zapałem. Washington Irwing rzucił za razem handel i piśmiennictwo. Oświadczył swe usługi gubernatorowi Tompkins'owi dowodzącemu w prowincyi new-yorkskiéj i został przyjęty do jego sztabu w stopniu adjutanta. Wypełniał gorliwie obowiązki nowego stanu w obrębie rodzinnego miasta, oraz posyłany z wielą ważnych poruczeń w różne okolice prowincyi. Lecz wkrótce nastręczyła mu się sposobność podwójnie służyć swemu krajowi, jako żołniérz i pisarz razem. Wojna stała się narodową, woyną całego ludu. Wzięcie okrętu

zwanego *Guerrière* dowiodło, że Anglicy nie są niezwyciężonymi na morzu. Ameryka Północna poznała upajającą roskosz zwycięztwa. Obsypywano zaszczytami Jenerała Hall; głośne okrzyki witały wszędzie bohatyra ojczyzny. *Magazyn analityczny*, czasopismo miesięczne, zapowiedział natenczas szereg bijografij amerykańskich, i wydawania ich podjął się Washington Irwing. Artykuły jego zalecają się jasnością, szlachetną prostotą i częstokroć wymownością pióra. Lecz zawarty pokój przerwał zarazem piśmiennicze i wojenne prace Washington'a Irwing'a.

Sprawy handlowe braci wymagały obecności jego w Wielkiej-Brytanii, dokąd udał się wiosną 1815 roku. Piérwszą podróż do Anglii odbył podczas zimy; w Londynie tylko przydłużéj się zabawił; nieznane mu więc były wykwintne siedziby możnowładców angielskich, pełne malowniczych, niespodzianych widoków; tak bogatych w historyczne wspomnienia, szczególniéj w krajach północnych Wielkiéj-Brytanii. Tą razą

zdarzenie pozwoliło mu je poznać i podziwiać. Ze zbiegu interessów wypadło mu się udadź do Birmingham'u, którego pobliża pełne są dzikich i poetyckich położeń miejsca. Z Birmingham'u w przeciągu kilku dni można zwiedzić Warwick, gdzie się wznoszą mury feudalnego zamku najpiękniejszego ze wszystkich, we trzech królestwach; w Kenilworth, poetyczne rozwaliny z czasów królowéj Elżbiety; Statford nad Awon'em, gdzie się rodził i spoczywa Szekspir w gotyckiéj świątyni, pod zasłoną grobowego pomnika, który wydarł Westminsterowi te sławne popioły. Irwing nie przeminął żadnego z tych miejsc, przez historyją i poezyją poświęconych, a wiedziony niepohamowanym powabem ich uroku, zwiedził także dolinę Sewerne, hrabstwo Glocester i krainę Gallii. Listy jego do przyjaciół pisane w chwilach odpoczynku, w ciągu téj podróży, mogłyby, podług zdania znających je, stanowić zbiór niemniéj zajmujący od malowniczych opowiadań *Sketh-Book* i *Bracębridge-Hall*, do

których zbiérał on materyjały, nie wiedząc kiedy mu wolne chwile dopuszczą je uporządkować i drukiem ogłosić.

Wolne te chwile nadeszły wkrótce, a co gorszą, oddania się zupełnego piśmiennictwu, powodem były dla Addison'a amerykańskiego, niełaski losu. Kupiectwo New-Yorku poniosło ważne szkody, które dotknęły szczególniéj dom Washington'a Irwing'a. Notaty które korrespondenci braci jego, oglądali ze wzgardliwém podziwieniem w tece handlowego komisanta, stały się zrzódłem dochodów, wtedy, gdy inne papiéry okryte pieczęciami i stęplami pokazały się bez żadnéj wartości. Zmuszony po kupiecku wyrachowywać przedsiębierstwo piśmiennicze Washington Irwing postarał się o wydanie swojéj *Sketh-Book* zarazem w Londynie i New-Yorku. Powodzenie tego dzieła w obu krajach było zupełne.

Zbiór szkiców, portretów i legend, nazbyt jest znany, żebyśmy go szczegółowie rozbiérali. Jednym one zamachem postawiły

swego autora w rzędzie znakomitych pisarzy Wielkiéj-Brytanii. Wszystkie modne towarzystwa Londynu ubiégały się za Irwing'iem. Powodzenie to tak zasłużone i tak godnie uzyskane, skłoniło go do napisania w tymże duchu drugiego dzieła: *Bracebridge-Hall*, romans ustępowy, bardziéj opisowy niż dramatyczny; poświęcony był podobnie jak *Sketh-Book* odmalowaniu zwyczajów i obyczajów staréj Anglii. Brytanija pokazała się surową dla tego nowego dowodu płodności, talentu rozmaitością zaleconego? Lecz znaleziono Irwing'a niższym jedynie tylko od samego siebie. Poznał on, że dla dochowania pozyskanéj czytelników przychylności, trzeba mu w trzeciém dziele zmienić osoby i miejsca. Wyjechał więc w 1822 do Niemiec. Nadziwiwszy się dowoli brzegóm Renu, jego urwistym skałóm uwieńczonym murami feodalnych warowni, jego jaskiniom tak sławnym w kronikach tajemnego sądu; zwiedził niemieckie miasta i przeniknął w tajniki lasów i gór, głośnych w starożytnych powieściach. Przemieszkał czas

niejakiś w Pradze, starożytnéj Czech stolicy; przezimował w Dreznie, tam był przedstawiony staremu królowi i królowéj, którzy go przyjęli tak uprzejmie, że z upodobaniem wspominał te szczegóły; tak to Amerykanie czuli są na pochlebstwa możnych!

Za powrotem do Anglii Washington Irwing wydał *powieści wędrownika.* Powieści te są to, po większéj części, legendy niemieckie, lecz opowiadane właściwym jemu sposobem; często nawet pisarz amerykański, schwycił jedynie główne wypadki dawnéj powieści, żeby z nich utworzyć całkiem oryginalne ze szczegółów i układów drama. Nowe powodzenia zatrzymały go przez część lata 1824 roku w Londynie. W 1825 udał się do Paryża, gdzie aż do wiosny się zatrzymał. Zamiérzał odbydź podróż do Hiszpanii; lecz niżby przebył Pyreneje, chciał poznać starożytną Gaskoniją i Turyngiją, ten ogród Francyi.

Talent Washington'a Irwing'a nie był jedynie własnością, za którą współubiegali się księgarze Anglii i Ameryki. Liczne

tłumaczenia zrobiły głośnym imie jego we Francyi, Niemczech, Hiszpanii i Włoszech (*). Przedsiębiorąc podróż do Hiszpanii miał zamiar poważniejszém dziełem usprawiedliwić tę europejską sławę. Pragnął on zasłużyć sobie na imie Historyka, i za bohatyra obrał męża, któremu Europa winna odkrycie Ameryki. Śmiały to był zamiar, przedsiębiorący go, narażał się na niebezpieczne porównanie ze sławnym historykiem, Robertson'em. Washington Irwing, *w historyi Krzysztofa Kolumba*, odznaczył się od wszystkich poprzedników swoich, pracowitém szperaniem, i synowskim zapałem ku swemu bohatyrowi. Nie przestał on na czerpaniu ze źrzódeł hiszpańskich, jedynie, biblijotek, tak

---

(*) My posiadamy tłumaczone Washinton'a Irwing'a: *Nadzwyczajne przygody człowieka osłabionych nerwów*, drukowane w Warszawie 1826, tomik I. *Rysy* i t. d. tomy 2 drukowane w Wilnie, przekład Czeczota; i *Galeryą obrazów* t. piérwszy, przekład Bychowca. Teraz P. E. Glücksberg przygotował do druku jego *Wycieczkę na stepy* i Kolumba. (*Prz. pol. tł.*)

bogatych w nieznane światu dokumenta; znajomość wszystkich prawie języków europejskich, pomnożyła jego materyjały, i dostarczyła mu śrzodków sprostowania wielu upowszechnionych błędów w dziejach sławnego żeglarza. Co się zaś tycze saméj *Historyi Krzysztofa Kolumba* jest to kronika pełna poezyi, łącząca dziwność starych romansów z rycerskich wieków, z interessownością historyi. Cóż może bydź bardziéj zajmującego, większym nadanego ruchem i życiem, nad przygody tych błędnych rycerzy morza: zuchwały Ojeda, nieszczęśliwy Nicuesa, mężny i łatwowierny Ponce de Léon, najodważniejszy, lecz i najnieszczęśliwszy ze wszystkich zarazem, Vasco Nunez de Balboa. Nie są, podobnie towarzyszóm bogobojnego Eneasza, ludźmi przyozdobionymi w epiteta bez znaczenia. Są to nieustraszeni *Kondottierowie*, lecący z garstką żołniérzy na podbicie największego w świecie mocarstwa.

Pisarzóm, podobnie jak Washington Irwing, płodnym, częstokroć jeden przed-

miot do drugiego staje się pochopem. Zbiérając materyjały do *Historyi Krzysztofa Kolumba* powziął on myśl *Kroniki zdobycia Grenady*, i *alhambryjskich powieści* gatunku *Sketh-Book'u* hiszpańskiego. Kolumb zmuszony trzymać się dworu, nim zdołał uzyskać pozwolenie, udarowania nowym światem władców Leonu i Kastylii; był przy oblężeniu Grenady: i Washington Irwing miał sobie za obowiązek odkryć najdrobniejsze ślady jego działań, podczas wojny z Maurami. *Kronika zdobycia Grenady* jest wyciągiem uwag jego nad tą rycerską wyprawą czynionych. Lecz aby oddadź z większą szczerotą uczucia współczesnych, udał ją za tłumaczenie pamiętników starego mnicha Hieronimity brata Antoniego Agapida: gra on tu rolę pośrzednika między czytelnikiem i pisarzem, biorąc na swój rachunek wszystko cokolwiek w opowiadaniu tchnie zmyśleniem i zabobonnością.

Alhambryjskie powieści nie są wyłącznie, utworem wyobraźni, lecz gruntem ich były romantyczne podania przeplecione wspo-

mnieniami podróży, w których przebija się cała świéżość opisów *Sketh-Book'u.*

Washington Irwing był jeszcze gościem *Allhambry*, gdy w lipcu 1829 roku otrzymał nominacyją na sekretarza poselstwa Stanów-Zjednoczonych w Londynie. Nie starał się on o tę godność, lecz przyjął ją jako zaszczytną rodzinnego kraju pamiątkę, i udał się na miejsce nowego przeznaczenia. Przebywając w Londynie, w charakterze dyplomatycznego urzędnika, zaszczycony został w Oxfordzie stopniem doktora: było to uroczyste urodowicenie (*), przyznane mu przez piérwszy z uniwersytetów angielskich. Obrządek ten odbył się przy głośnych okrzykach uczniów i tłumu ciekawych widzów.

Wziętość piśmiennicza nowego doktora inne nań ściągnęła zaszczyty, na które i obywatelóm rzeczypospolitych nie wolno się zawsze nieczułémi okazywać, «autorowie mają częstokroć zbyt arystokratyczną próżność» mówi gdzieś Shenstone, Wa-

(*) Naturalisatio.

shington Irwing głaskany był w salonach Gwilhelma IV. Monarcha, rodzina królewska, dwór cały nie ukrywali przed autorem *Sketh-Book'u,* że pismóm on swym raczéj, niż dyplomatycznéj godności, był winien tak pochlebne przyjęcie. Lecz ani zaszczyty akademickie, ani względy dworu, nie stłumiły w Washington'ie Irwing'u przywiązanie do rodzinnego kraju, i zamiłowania w życiu ustronném. Nie zaniechał piérwszéj sposobnéj pory, aby zrzucić z siebie dyplomatyczny charakter.

Za powrotem jego do New-Yorku 1832 roku wspól rodacy dowiedli mu ze swéj strony, że ani prace jego były im obce, ani powodzenie obojętném. Wydano dlań ucztę, któréj przewodniczył kanclerz Kent, patryarcha palestry amerykańskiéj. Nowe pokolenie wzrosło w czasie jego oddalenia: lecz młodzi i starzy zdawali się go znać zarówno; każdy ustępował mu przechodu z uszanowaniem, lub spotykał go z wyrazem uprzedzającéj przyjaźni. Jeśliby chciał tylko podbudzać ogólny dla niego zapał, uchwa-

łonoby, dlań niechybnie tryumf i *Washington-City*, jak Rzym, miałoby swoje kapitolium.

Poświęciwszy kilka miesięcy czasu swéj rodzinie i new-york'skim współobywatelóm udał się Irwing w podróż po różnych krajach Stanów-Zjednoczonych. Wodospad Nijagary, jeziora Champlain i Erié, brzegi Chio, wspaniałe koryto Mississipi, były piérwszémi celami jego wycieczek. Poźniéj z gromadą konnych kolonistów polując w krainie wojennego pokolenia zwanego *Pawnensami*, przeniknął w obszary step i gęstwiny lasów; w dzień ścigając dzikie konie i bawoły, noc przepędzając pod gołém niebem przy taborowém ognisku, lub pod indyjskim wigwamem. Wyprawy téj owocem stały się obrazy koczowniczego życia dzikich pokoleń Ameryki; autor albowiem *Pijonierów* i *Mohikana*, wolne już jak mówią, swemu spółzawodnikowi, zostawił szranki.

Chciał także Washington Irwing przypatrzyć się zblizka ścieraniόm się różnych fakcyj. Po kilkotygodniowym pobycie

w Nowym-Orleanie udał się do Washingtonu, gdzie pilnie uczęszczał na posiedzenia ostatniego (1834) kongresu; lecz mając przyjaciół pomiędzy wszystkiémi odcieniami mniemań, nie chciał pod żadne zaciągnąć się znamie; przedsięwziąwszy, spokojną zachować neutralność, któréj, podług niego, człowiek piśmiennictwu oddany, nigdy przekraczać nie powinien. To postanowienie wykonane ściśle, dozwoliło mu nowémi coraz płodami świat literacki zbogacać.

Współ-rodacy oczekiwali odeń jedni historyi upadku państw Azlek i Inkasów; inni, i tych większa była liczba, pragnęli, aby poświęcił swe pióro dziejóm piérwszych osad europejskich w północnéj Ameryce: żądano odeń tém samém niejako wynagrodzenia za piérwotne pismiennicze powodzenie, przez uzupełnienie w stroju poważnym satyrycznéj historyi Nowego-Yorku. Nie zabraknie zapewne przedmiotów Irwing'owi, jeżeli zechce czerpać ze źrzódła dziejów amerykańskich; czy to podoba mu się przenieść w czasy założenia piérwszych osad angiel-

skich w Wirginii, czy téż przełoży nad nie współczesną walkę Ameryki przeciw ojczyźnie-matce. Usprawiedliwi tym sposobem miano *narodowego pisarza*, dane mu od współrodaków raczéj w zapale uniesienia, niż w głębokiego przekonania uczuciu. Przy mniejszéj wytworności stylu, rodowitość Fenimora Kooper'a napiętnowana jest bez wątpienia wyraźniejszémi cechami. Washington Irwing, w celniejszych utworach swoich, zbyt wiele poświęcił naśladownictwu dawnego wieku wzorów. Przedmiot miejscowy przerodzi jego natchnienie: mniéj będąc Anglikiem, stanie się prawdziwym Amerykaninem. Dotąd żywe strumienie mruczące, po tajnikach puszcz naszych, przeskakująca je łania, zagrody osadników, jaśniejące wód łona; nie ściągnęły na się jego oczu: szukał on sławy europejskiéj pragnął tymczasowego wieńca, którym pisma publiczne ozdabiają skronie pisarzy: i to pozyskał.

(American Monthly Magazine.)

ROZMAITOŚCI.

WIADOMOŚĆ O GALERYI OBRAZÓW HRABIEGO MNISZCHA W WISZNIOWCU (*).

(Mało dotąd nam wiadomo, co kraina nasza zawiéra ważnego w zbiorach naukowych i pamiątkach starożytnych. W wielu miejscach, w zaciszu wiejskiém znajdują się skarby literatury i dzieła sztuk godne powszechnéj wiadomości, znajome tylko sąsiadóm, lub małéj liczbie osób zwiedzających te strony. W rzędzie miejsc takowych, jest galeryja obrazów hrabiego Mniszcha, *w Wiszniowcu, na Wołyniu. Ciekawy miłośnik sztuk, zwiedził ją w roku teraźniejszym i skreślił opis, jakowy*

(*) Wiadomości niniejszéj udzielił, JWu J. G. R*nie*, P. J. J. z Łucka.

lubo niedostateczny, zawsze jednak będzie interessujący dla tych, którym miłe są sztuki, miejscowe pamiątki i badania statystyczne.)

J. W. M. D.

Wedle przyrzeczenia mego udzielam wiadomości o galeryi obrazów olejnych na Wołyniu w miasteczku Wiszniowcu w pałacu JW. hrabiego M n i s z c h a. Omijam ładną pozycyją tego miejsca, śliczny, wedle rysunku, Piotra I. pałac, bytność tam A u g u s t a II, Stanisława P o n i a t o w s k i e g o króla, Wielkiego podówczas książęcia Pawła, który własną ręką na źwierciadle napisał brylantem: *Prince du Nord*; lecz przystępuję do opisania piękněj galeryi malowideł, która na szczególniejszą uwagę zasługiwać powinna. Wyznaję, że mało świadomy historyi sztuk pięknych, rozmaitych szkół malarstwa i celniejszych mistrzów, trudno mi w tak uczoněj materyi pisać, jednak nad ważniejszémi nieco zastanowię się, gdyż nad wszystkiémi i czas nie pozwala rozwodzić się, i rozrzuconych po piętrach i appartamentach przejrzeć i spamiętać nie można.

JW. P. D. najniższy sługa J. J...., cz.

WYSZCZEGÓLNIENIE CELNIEJSZYCH MALOWIDEŁ.

1. Król Stanisław August Poniatowski. Jedna z lepszych robót Bacciarellego. Wyobraził króla siedzącego w szlafroku. Na stole leży korona i przy niéj stoi klapsydra. Smutek i zadumanie maluje się na twarzy monarchy. Obraz ten, ma długości łokci $2\frac{1}{2}$, szérokości łokci 2.

2. Xiążę Michał Poniatowski Prymas. Ten obraz, obok innych zalet, posiada jeszcze i tę, że Bacciarelli nie zrobił figury krótkiéj, co mu się często zdarzało. Długość łokci $4\frac{1}{2}$, szérokości 3.

3. Xiądz Franciszek Poniatowski robiony pastelami przez Marteau. Zdaje mi się, że w rodzaju pastelowym, rzadko co widzieć można doskonalszego.

4. Michał Mniszech marszałek wielki koronny, przez Lampiego. Obraz zalecony tą delikatnością i niezrównaną miękkością pędzla, jaka była właściwa temu wielkiemu malarzowi portretów.

5. Urszula z Zamojskich Mniszchowa marszałkowa wielka koronna, przez Bacciarellego. Figura krótka. Obraz wreszcie szacowny, jak wszystkie Bacciarellego. Długości łokci $4\frac{1}{2}$, szerokości łokci $2\frac{1}{2}$.

6. Olind i Sofronija, przez Luca Jordano. Układ piękny tego obrazu. Głowa Sofronii wypracowana do najwyższego stopnia. Wyraz żalu wydany na twarzy bardzo naturalnie. Światło rzucone w głębi na

Kloryndę, czyni piękny effekt. Wysokości łokci $2\frac{1}{2}$, szerokości łokci 2.

7. Portret Hiszpana na drzewie w guście Wandyka, $\frac{3}{4}$ łokcia.

8. Józef i żona Putyfara, przez Wanderwerffa. Ten obraz mimo inne zalety, celuje kolorytem i pięknością karnacyi. Szerokości $\frac{3}{4}$ łokcia, długości $\frac{1}{2}$ łokcia.

9. Dawid, w połowie figury. Wysokości łokci $1\frac{1}{2}$

10. Trzéj Królowie, przez Pawła Veronese. Szerokości łokci $1\frac{1}{2}$, długości łokieć 1.

11. Wesele w Kanie Galilejskiéj tegoż autora, (lub może kopija przez Tokarskiego,) tejże wielkości co poprzedzający.

12. Dwa Widoki. Przez Vatteau. Arkuszowéj wielkości.

13. Hiszpan. Przez Norblena. W piękném świetle.

Pastérka. Przez tegoż autora. Oba te obrazy wielkości ćwiartki papiéru.

14. Dwa Widoki. Przez Du Vivier. Długości łokci 2, szérokości łokci 3.

15. Widok wyobrażający wschód słońca. Przez Fidanza. Szérokości łokci $1\frac{1}{2}$.

16. Koncert u Sułtana. Przez Van-Loo. Szérokości łokci $1\frac{1}{2}$, długości łokieć 1.

17. Staruszek. Przez Rambranta. Arkuszowéj wielkości.

18. Dwa obrazy kwiatów. Przez Van-Huysum. Obadwa arkuszowéj wielkości.

19. Uczniowie z *Emaus* przez Dietrycha. Długości łokieć 1.

20. Widok. Przez Vouvermanes. Trzy ćwiartki arkusza.

21. Najświętsza Panna. Kopija z Guido Reni.

22. Bachantka. Przez Greuze. Arkuszowéj wielkości.

Królowa Bona. Przez Holbeyna. Wielkości $\frac{1}{4}$ łokcia.

23. Zofija Mniszchówna marszałkówna wielka koronna. Przez Angelikę Kauffmann.

24. Sześć widoków Wenecyi. Wszystkie równéj wielkości; przez obudwóch Kanalettych. Szérokości łokieć $1\frac{1}{2}$, długości łokieć 1.

25. Staruszek. Piękna robota nieznanéj ręki $\frac{3}{4}$ arkusza.

26. Batalija, na blasze. Bez imienia autora. Długości łokci 2, szérokości łokci 3.

27. Trzy głowy. Przez Botari. Wielkości $\frac{3}{4}$ arkusza.

28. Henryk VIII. król Angielski. Przez Holbeyna. Wielkości arkusza.

29. August III. Przez Botari. Wielkości $\frac{1}{2}$ arkusza.

Królowa, Józefa. Tegoż autora i tejże wielkości.

30. Xiężna Jabłonowska kasztelanowa krakowska. Przez Grassy. Długości łokieć $1\frac{1}{2}$, szérokości łokieć 1.

31. Widok Indyjski. Wyborny, bez nazwiska autora. Wielkości arkusza.

32. S. Hieronim. Obraz piękny; niewia-

domego autora. Długości łokci 3, széroko-ści łokci 2.

33. Scięcie S. Jana. Doskonały obraz niemieckiéj sztuki. Dosztukowany na bokach i w górze, dla zrównania go z innym obrazem; przez co wiele traci. Długości łokci $3\frac{1}{2}$, szérokości łokci $2\frac{1}{2}$.

34. Narodzenie Chrystusa Pana. Szkic, bez imienia autora. Długości łokieć $1\frac{1}{2}$, széro-kości łokieć 1.

35. Anna z książąt Wiszniowieckich Ogińska wojew. Trocka, pr. Largilléera.

36. Dwie Batalije. Bez imienia autora. Śliczne obrazy, których wzorowa kompozycya wiele ma ognia, ruchu, i piękne grup-powanie figur. Długości łokci 3, széroko-ści łokci 2.

37. S. Elżbieta. Przez Greuze. Długości łokci 3, széroko-ści łokci 2.

Niebowzięcie Najświętszéj Panny. Przez Albano. Długości $\frac{1}{2}$ arkusza.

38. Stanisław August, w stroju koronacyjnym, przez Bacciarellego. Długości łokci $3\frac{1}{2}$, széroko-ści łokci $2\frac{1}{2}$.

39. Dwa portrety, Anglik i Angielka. Przez Leslie.

40. Dwa Widoki. Przez Kazanowa. Széroko-ści łokieć $1\frac{1}{2}$, długości łokieć 1.

41. Narodzenie Chrystusa Pana. Przez Romanelli. Długości łokieć 1, széroko-ści $\frac{3}{4}$ łokcia.

42. Bogowie w Olimpie. Szkic Piotra z Kortony. Wielkości $\frac{1}{2}$ arkusza.

43. Konstancya z książąt Czartoryskich Poniatowska kasztelanowa krakowska. Przez Larguillera. Wielkości arkusza.

44. Książę d'Orleans. Portret przez Rigaud.

45. Książę Józef Lubomirski marszałek wielki koronny. Portret, bez imienia autora.

46. Judyta. Przez Holbeyna. Wielkości łokieć $1\frac{1}{4}$.

47. Mniszech marszałek wielki koronny. Przez Bacciarellego. Długości $\frac{3}{4}$ łokcia, szérokości $\frac{1}{2}$ łokcia.

48. Mniszchowa marszałkowa wielka koronna. Szkic Bacciarellego. Tejże wielkości, co poprzedzający. Obie figury w całéj postaci.

49. Król Michał. Portret w guście Rambranta.

Trzy Gracye. Przez Palma. Długości łokieć 1, szérokości $\frac{3}{4}$ łokcia.

50. Jan Mniszech podkomorzy wielki litewski. Portret przez Bacciarellego.

51. Dziewięć sztuk rozmaitych rzeczy, służących do pożywienia. W guście Venninx'a.

52. Książę Kazimierz Poniatowski podkomorzy koronny. Przez Pesne.

53. Anna z Cetnerów księżna Sanguszkowa marszałkowa wielka litewska, a poźniéj księżna Lotaryngska. Przez Panią Lebrun.

54. Holenderka. Przez Vandika. Mało podobnych obrazów znajduje się w naszym kraju. Dzieło wielkiego mistrza, prawdziwe cudo sztuki.

55. Książę Oranii. Portret szkoły flamandzkiéj.

56. Portret Staruszki. Kopija z Żerarda.

57. Pijak. Ze szkoły flamandzkiéj. Wielkości $\frac{1}{4}$ arkusza.

58. Józef Mniszech kasztelan krakowski. Portret przez Largillera.

59. Widok wnętrza kościoła. Bez imienia autora. Ze szkoły hollenderskiéj, na desce. Arcy dzieło sztuki, do wysokiego stopnia wypracowane. Ołtarze, księża Msze śś. odprawujący, balkony, galerye, i cała architektura, tak są naturalnie wydane, że bez zachwycenia na ten obraz patrzeć nie można.

60. Widok kaplicy w Demblinie. Bez imienia autora. Wielkości $\frac{1}{2}$ arkusza.

61. Elżbieta z Mniszchów księżna Radziwiłłowa. Przez Laurent.

62. Paulina księżna Jabłonowska. Tejże wielkości i tegoż autora, co poprzedzający.

63. Stanisław August w młodym wieku. Przez Rosalba Carriera.

64. Batalija na śniegu. Przez Julio Romano. Wielkości $\frac{3}{4}$ arkusza, na blasze. Gruppowanie figur, zamieszanie uciekających żołnierzy, ranieni ludzie i konie, krew płynąca z umierających, topiąca śnieg i z nim

zmieszana; wszystko to wiernie i naturalnie oddane, sprawuje widok przerażający. Jeden tylko Julio Romano mógł wykonać dzieło tego rodzaju.

65. Scena z Eneidy Wirgiliusza. Przez Tokarskiego. Długości $1\frac{1}{2}$ łokcia, szérokości $2\frac{1}{2}$ łokcia.

66. Pelagija z Potockich Mniszchowa. Portret przez Marteau.

67. Maryanna z Ossolińskich Mniszchowa. Portret tegoż autora.

68. 80 sztuk rozmaitych minjatur.

69. 120 widoków Warszawy na papierze; przez Fogla.

Dokładne i zupełne wyliczenie osobliwości téj galeryi, zostawuję bieglejszym. Zwiedzający to miejsce, w miłém i uczoném towarzystwie uprzejmych gospodarzy, wiele skorzystać mogą.

Prócz galeryi w Wiszniowcu, godne są widzenia zbiory malowideł na Wołyniu i Polesiu:

a) W Romanowie u Senatora Ilińskiego.

b) W Horochowie u Senatora Tarnowskiego, gdzie się znajduje *Perseusz* Kanowy. Galerya ta pomnożona znacznie zbiorem ś. p. Hieronima Stroynowskiego Biskupa Wileńskiego.

c) W Rafałówce, u Olizarów.

d) W Horodcu, u Urbanowskiego.

e) W Rachnach, u Starzyńskiego it. d.

LITERATURA ZAGRANICZNA SŁAWIAŃSKICH DYALEKTÓW.

Wyjątki z listów pisanych do Redaktora Dziennika Ministeryum Nar. Oświecenia.

I.

Wiédeń, 28 *Października*, *n. s.* 1835 *r.*

Podczas moich wędrówek po Niemczech, nie zapomniałem ja bynajmniéj, o danych WPanu w St Petersburgu przyrzeczeniach, i częstom bardzo zazierał do programmatu, któregoś mi łaskawie udzielić raczył; programmat ten stał się mi samemu pożytecznym, którego się jak nici przewodniczki trzymałem. Czém bogaty tém rad mu jestem. Byłem w Pradze, teraz przemieszkiwam w Wiédniu; pozabierałem znajomości z uczonymi *słowianofilami*, mogę przeto, choć pokrótce i dorywczo, ale przynajmniéj czegokolwiek, udzielić WP. o tém, co się tu w oddziale słowiańskiego piśmiennictwa dzieje.

W Pradze Szafaryk, do pracy istotnie kolosalnéj materjały zgromadza; zkąd naprzód, w roku następnym, ukaże się światu, piérwiastkowa historja Sławian w ogólności, od najdawniejszych czasów, do epoki wprowadzenia pomiędzy nimi Religii chrze-

ścijańskiéj. Książka ta wyjdzie w języku czeskim; ale autor, ma zamiar, w tymże samym czasie przysposobić wydanie i niemieckiego jéj przekładu. Czcigodny starzec Jungman, współzawodnik Dobrowskiego, trudni się, bez przerwy wydawaniem swojego ogromnego porównawczo-etymologicznego słownika dyalektów sławiańskich; wyszła już dotąd litera *K*; co stanowi piątą część całego dzieła; lecz w rękopiśmie, praca ta zupełnie jest ukończona i leży w gabinecie autora. Palacki wydaje ocenienie kronikarzy i historyków czeskich, zajmuje on się, z poruczenia urzędowego, napisaniem zupełnéj historyi czeskiego królewstwa, która wyjdzie w niemieckim języku. Poeta Czelakowski, lubo zajęty swoją gazetą, wszelakoż nowe pieśni zgromadza, a oprócz tego, zamyśla o wydaniu czeskich narodowych przysłów, jako uzupełnienie pieśni. Hanka, konserwator narodowego muzeum w Pradze, niedawno ukończył wydanie nowe królewskodworskiego rękopismu, tudzież krótką czeską grammatykę (*Prawopis Cesky*). Nie miałem zręczności widzieć poety Kollara, i nie wiém, azali cokolwiek pisze teraz; albowiem niedawno się ożenił; ale jego Córka Sławy (*Slawy Cera*), poemat ułożony w sonnetach, uwieńczony został zupełném powodzeniem, i w niesłychany sposób, po Czechach się i Węgrzech rozszedł.

Powszechne jest narzekanie tych wszystkich panów na trudność, a prawie, można

powiedzieć, na niepodobieństwo regularnego porozumiewania się z Rossyą, któréj literatura najbardziéj ich obchodzi. Ledwobyś WP. mógł uwierzyć, że Jungman, przez lat kilka nie mógł się dobić do 12 tomu historyi Karamzina, który nabył nakoniec, za siedmdziesiąt przeszło rubli, na nasze pieniądze. Czelakowski, coś podobnego za ulotne poezye Puszkina zapłacił. Głównym śrzodkiem, obeznania, nie tylko Pragi, ale Wiédnia i całych Niemiec, z płodami naszéj literatury, byłoby zaprowadzić w Lipsku Rossyjską księgarnią (*Filial-Buchhandlung*), podobną do założonych tam, francuzkiéj, angielskiéj i t. d.: albowiem do Lipska zjeżdżają się, w czasie wielkonocnym, wszyscy ważniejsi księgarze, albo ich agenci, a książka tam przywieziona rozchodzi się snadnie i tanio, we wszystkie strony Niemiec. Zaiste, nam Rossyanóm można się będzie pokusić o to wtenczas, kiedy się u nas drukować zacznie więcéj rzeczy istotnych i pożytecznych; ale myśl ta, jako spekulacya, i teraz mogłaby zasłużyć na uwagę naszych księgarzy, naprzykład Smirdina, oraz innych, zwłaszcza, że w Lipsku mamy Rossyjskie jeneralne konsulowstwo.

W Wiédniu, Buka Stefanowicza i Kopitara znalazłem. Ostatni z nich mówi z zapałem o swojéj nowéj pracy, która lada dzień wyjdzie na świat: *Glagolita Klozianus:* jest to urywek zachowany troskliwie

ze starożytnego sławiańskiego *Modlitewnika*, pisanego głagolitskiemi głoskami, około XI wieku, który się znajdował na wyspie Welii (niedaleko od Tryestu), w zbiorze ciekawości należącym do rodziny weneckich patrycyuszów Franczynanich, poźniéj zaś dostał się, w Tyrolu jakiemuś hrabiemu Klocowi, na uczczenie którego wydrukowana książka, od jego nazwiska ma się mianować. W kommentaryuszach do tego rękopismu, Kopitar nanowo będzie dowodził, że głagolitskie charaktery nierównie starożytniejsze są od cyryllijskich; że one były piérwiastkowym, barbarzyńskim jeszcze alfabetem ludu sławiańskiego; Cyrylli zaś i Metodyusz, wprowadzili swój do Pannonii wraz z przekładem ksiąg świętych, i powstawali u Papieża przeciwko Salcburgskiéj katolickiéj dyecezyi, od któréj zależeć nie chcieli. Teraz, nie wiém kto ma za sobą słuszność Dobrowski, czy też Kopitar? Cóżkolwiek bądź, przeczytać to, jest rzecz ciekawa. Buk niedawno powrócił ze swojéj wędrówki do *Czarnéj-Góry*; zebrał on mnóztwo nowych wyrazów i narodowych pieśni, i zamyśla wydadź tom piąty swojego zbioru pieśni serbskich, a przytém miejscowych zwyczajów, obyczajów i obrzędów opisanie. W ogólności, przyznać należy, że pomiędzy południowymi Sławianami panuje dosyć żywa, chociaż niewielkiéj wagi, w drukowaniu książek czynność. Liczą, iż w prowincyach podległych Austryi tudzież

w Belgradzie wyjdzie, na rok nowy, do dziesięciu *Zabawników*, to jest almanachów, w serbskim, słowackim, chorwatskim i kraińskim dyalektach. Książki i kalendarze drukują się w Wiédniu, Ofenie, Karlsztadzie, Lejbachu, Sebenicy, oraz innych miastach. Z St. Petersburga, jak WPanu wiadomo, drukarnia do Czarnéj-Góry sprowadzona została: w roku przeszłym tameczny Władyka, wydrukował zbiór rymopismów, które dla ciekawości przyłączam, chociaż ledwo nie pewny jestem, że się on w St. Petersburgu znajduje. Chciałem był posłać także WPanu i *Dannicę*, noworocznik Buka, w Wiédniu, już od lat kilku z kolei wydawany; ale pokalkulowałem, że to obciężyłoby zbytecznie pakiet: zdaje się, że to pismo i na przyszły rok nowy także wyjdzie.

(*W. T.*)

II.

Moskwa 27 *Listopada* 1835 *r*.

...... Posyłam WPanu urywek listu, który odebrałem ze Lwowa, o nowościach tamtejszych.—„Jan Nepomucen Kamiński wydawca *Gazety Lwowskiéj*, w polskim języku, tudzież, przy niéj dziennika, pod tytułem *Rozmaitości*, tłumacz licznych płodów Szyllera i autor drugiéj części polskiego dramatu: *Krakowiacy i Górale*, tudzież zasługującego nader na uwagę, roztrząsania *fi-*

lozofii polskiego języka, od niejakiego się czasu, *Psychologii* układem, zatrudnia. Przyjaciele Kamińskiego siła bardzo obiecują po téj jego pracy, mającéj wydadź piérwsze oryginalne, tego rodzaju dzieło, w polskim języku. Adam Rościszewski, gorliwy miłośnik sławiańskiéj literatury, namawia pragskiego bibliotekarza Hankę, do wydania poematu *Lubuszy*, wraz z przekładem jego na nowoczeski, tudzież na wszystkie sławiańskie dyalekta. Młody Małorossyanin Łopaciński, przełożył już ten poemat na język cerkiewno-słowiański, a Wajglewicz, także Małorossyanin, na małorossyjski, z przydaniem jeszcze *Sądu Lubuszy*. Tenże Wajglewicz, nieco przedtém, przełożył na małorossyjski język *Słowo o półku Igora*. Niedawno wyszło tu niezbyt obszerne dzieło Kazimierza Turowskiego: *Uwagi nad niektóremi pieśniami poetów ludu*; a poźniéj nieco w Przemyślu: *Ruskoje Wesile opysanoje czerez* I. Lozińskoho w Peremyszły *w Typografii Władycznoj*, 1835, łacińskiémi charakterami wydrukowane. Autor tego dzieła, w osobnéj rozprawie, umieszczonéj w dzienniku lwowskim, starał się dowieśdź, że Małorossyanóm byłoby przyzwoiciéj używać liter łacińskich aniżeli sławiańskich; ale dowody jego nie mają wielkiéj wagi, ponieważ się, w swoich wywodach ogranicza dyalektem, około Przemyśla używanym, gdzie się przed wszystkiémi, polskiego języka wpływ rozwinął.

Lewicki, wydawca małorossyjskiéj grammatyki, stawa w obronie przeciwnego mniemania, — i ja się zupełnie z nim zgadzam. Wszystkim Sławianóm należałoby teraz o to się troszczyć, ażeby pisać jednostajnémi charakterami, używać jednego i tegoż samego alfabetu; a P. Łoziński o wprowadzeniu nowego odszczepieństwa zamyśla. Najzupełniejszym i najprzyzwoitszym alfabetem jest cyryllijski, należącym do wszystkich pokoleń sławiańskich wspólnie, do żadnego zaś w szczególności, — czegoż więcéj potrzeba? Alfabet ten przyjęty jest przez Rossyan, Serbów, Bulgarów; oddzielają się jedynie Sławianie zachodni. Wreszcie, są to tylko *pia desideria*; wprowadzenie do nich alfabetu cyryllijskiego zawszeby niepokonane przeszkody napotkało. Będziemy ukształceńszych ną to czasów oczekiwali; t. j. rzecz tę całą wnukom naszym zostawim.

(M. Pogodin.)

Sztycharstwo francuzkie. Powodzenie rzadko przedsięwzięcia sumienne omyla, na nieszczęścia te się niezbyt często trafiają; lecz one tylko jedynie podnieść mogą księgarstwo i nowy popęd sztuce rytowniczéj nadadź. P. Curmer tego był zdania; wybrał on książkę, która się do wszystkich pojętności stosuje, która nie jest ani msza-

łem, ani manualikiem filozoficznym, ale jest książką ludzi światowych i samotników, mędrców i prostaczków zarazem: *Naśladowanie* Jezusa Chrystusa, jest to serce człowiecze w całém znaczeniu, są to wnętrzności rodu ludzkiego. Taką to książkę P. Curmer otoczył całym urokiem sztuki rytowniczéj, i całym przepychem typograficznym: współczesny Jana Gerson'a nie wyparłby się ozdób otaczających każdą stronicę; nigdy PP. Johannot'owie lepiéj natchnieni nie byli. Przetoż, powtarzamy raz jeszcze, powodzenie, które daleko przewyższyło nadzieje wydawcy, przepyszne to dzieło uwieńczyło. P. Curmer przygotował także wydanie *Czterech Ewangelistów*, które przewyższy jeszcze, jeżeli to podobna, księgę o *Naśladowaniu*. Niezmierne koszta wydania pokwapiła się natychmiast zastąpić liczna subskrypcya; wiadomo teraz wszystkim, jaką rękojmią jest samo imie wydawcy. P. Curmer dokończył podobnież *Historyi starego i nowego Testamentu*, przez Royaumont'a w I. tomie in 4to, ozdobioną 700 rycinami, tudzież nowy przekład *Więzień* Sylwiusza Pellico.

—*Introligatorstwo*. Jeden z najbieglejszych introligatorów francuzkich, ten, którego wziętość najdaléj zasięga i najlepiéj jest ugruntowana, P. Simier dokonał pracy okazałéj, która mu wszystkich ludzi obdarzonych ukształconym smakiem zdanie zje-

dnała. Oprawa siedmiu woluminów *in folio Iconografii* Wiskontego, którą P. Simier, sporządził na rozkaz książęcia Orleanu, jest arcydziełem przepychu. Ozdoby zewnętrzne stanowią bogate obwódki złociste z cyframi książęcémi. Rozporządzenie obrazu tego jest doskonałe; oko najwybredniejsze, nie dostrzeże tam żadnéj linii, któraby od swojego kierunku zbaczała. Nic nie masz powabniejszego nad te niezliczone arabeski, które się wężykiem po karcie safijanowéj snują, a w których się, dwie głoski cyfry książęcéj rozmnażają. Przed niejakim czasem, widzieć można było, na warstatach P. Simier'a, dokumenta prawodawcze, przez izby, parów i lordów, przysłane. Przez takie to dzieła trudne i surowe, biegły pracownik nabywa téj łatwości, z którą, jakby igrając sobie, wyrabia wszystkie te sztambuchy ze złota i jedwabiu, wszystkie rzeczy od fantazyi zależące, które dziś do wsławienia człowieka wystarczają.

(F. Buloz. *Revue des deux mondes.*)

BIBLIOGRAFIJA DAWNA POLSKA.

Pisma niektóre treści duchownéj, w Sankt-Peters-burskiéj Cesarskiéj *bibliotece opisane, o których* Bentkowski *tudzież dalsi bibliografowie zamilczeli.*

1. Zwierciadło nabożeństwa chrześcijańskiego w Polszcze, począwszy od przystania Polaków na wiarę Krześcijańską aż do teraźnieyszego roku 1590. Przez pobożnego męża X. Symoná Theophilá zborów Wielkopolskich czuynego y wiernego dozorcę napisane. W Wilnie u Jakubá Márkowiczá, Roku 1594. 4to arkuszy 5. Na odwrocie, pod herbem *Trąby*, prześliczny 12wiersz dedykacyi do Janusza Wojewodzica Wileńskiego i Jerzego Wojewodzica Nowogrodzkiego Radziwiłłów, braciéy stryjecznéy, podpisał Jan Syćinski z Birżańskiego dworu. Daléj, do łaskawego czytelnika X. Andrzey Chrząstowski; potém wiérsz do czytelnika podpisał Jan Kozakowicz Litwin: nakoniec text samego dziełka, które należy do oddziału Historyi Kościelnéj. Jest to krótkie wynotowanie chronologiczne ważnych zdarzeń w kościele polskim. Autor przydaje wszelakoż wzmiankę o postanowieniach Stolicy Apostolskiéj tych właśnie, których jego współwiercy nie przyjmowali: jak post, bezżenność i t. p. Jest to już drugie wydanie tego dziełka, piérwsze, jak się oka-

zuje z tytułu, wyszło 1590. Niniejsze wydał Andrzéj Chrząstowski kaznodzieja Zboru birżańskiego, nakładem Jana Sycińskiego, namiestnika Birż. Autorem jest Turnowski. Xiążka ta jest zakazana, *in indice prohibitorum auctorum polonorum adjecto indici Romano et impr. Cracoviae* 12. Wspomina się wydanie 3. Wiele tu się zawiéra obelg na kościół katolicki.

— 2. Rożaniec Panny Maryey teraz nowo w Krakowie u S. Troycey reformowany. Przez Księdzá Abráhámá Bzowskiego, pisma Świętego Lektorá, zakonu św. Dominika.... W Krakowie, u Woyciecha Kobylińskiego, Roku 1600. *Cum gr. et priv.* S. R. M. 4to XII, str. 132. Na odwrocie pod herbem czworowiérsz łaciński, podpis F. F. B. L. Dedykacyja do Mikołaja Komorowskiego Starosty Oświecimskiego. W tém dziełku składającém się ze cztérech traktatów, jest wyłożoną historyja Rożańca, wymienione odpusty, sposób wykonywania, tudzież prawidła dla starszych. Bardzo porządnie napisana ascetyczna ta książka, warta jest przedrukowania dla bractw rożańcowych. Język w niéj czysty.

— 3. *Idea Regis*: to jest na elekcyją Jana III Króla Polskiego i t. d. Kazanie Daniela Kałajego. St. B. Kaznodziei. Drukował we

Gdańsku *Dawid Fridrich* Rhek, miejski Typograf. Roku 1674. fol. arkuszy 6½. Dedykacyja do Michała Podkanclerzego Litewskiego i Stanisława Stolnika Litewskiego Radziwiłłów. Są w tém kazaniu niektóre dobre rzeczy, ale są też niesłychane dziwactwa, igraszki wyrazów nierozsądne i t. p.

— 4. *Vox Populi*, na koronacyją Jana III i Maryey Kazimiry. Kazanie Br. Daniela Kałajego S. B. Kazn. Drukował we Gdańsku *Dawid Friderik* Rhetius, miejski Typograf. Roku Pańskiego 1676, na końcu lutego, fol. arkuszy 5½. Dedykacya do Króla po łacinie. O tém kazaniu, toż samo co i o powyższém powiedzieć można; wśrzód dziwacznych igraszek dowcipu znajdzie się miejscami rzecz dobra.

— 5. Zwierciadło nabożeństwa chrześcijańskiego w Polszcze y w Litwie, cf. roz. I, począwszy od przystania Polaków na wiarę Chrześciańską, aż do teraźnieyszego roku 1604. *Item*, Jasne oko prawdy X. Simeona Turnowskiego z odpowiedzią na Okulary X. Tworzydłowe. i t. d. Nakładem J. M. P. Jana Sycyńskiego Marszałka Króla Jego Mości Powiatu Upitskiego. Wymieniu (*sic*) Jego. Na Upicie drukowano, Jákub Starkowycź 4to str. n. l. 170. Ded. Sycyńskiego, z której pokazuje się, że edycyja

wymieniona pod nr. 1 jest piérwszą, bo Chrząstowski wydał ją z rękopismu. Niniejsza ded. dat. z Ostrogu roku r. 1599 d. 25 Sept. *die meo natali quo aetatis annum 56 ingredior*. A więc między niniejszą zapewne r. 1604 wydaną, a ed. 1594 była jeszcze jedna r. 1599. We 35 lat poźniéj wyszło znowu to Zwierciadło, 1639 b. m. dr. 4to str. 35. Tak więc mamy dwa wydania samego Zwierciadła, drugie zas dwa wydania Zwierciadła i odpowiedzi na jego krytykę; ponieważ w tymże samym roku 1594 wydana została replika następna:

— 6. Okulary na Zwierciadło Nabożeństwa Chrześcijańskiego w Polszcze. Począwszy od przystania Polaków na Wiarę Chrześcijańską, aż do teraźnieyszego roku 1594. Przez Księdza Marcina Tworzydła wydane. W Wilnie przez Chrysztofa Walbrameryka. Roku MDXCIIII (1594) 4to arkuszy 10½. Po przestrodze do czytelnika, następuje do Ministrów wiérsz, który napisał Maciey Szałayski. Jak w samém dziełku nic nie było ważnego, tak również i odpowiedź na nie, mało interessuje; tylko niepotrzebnie ją Tworzydło napełnił obelgami. Na końcu trzy epigrammata złośliwe na autora, wydawcę i Jana Kozakowicza, przez tegoż Macieja Szałajskiego. Druga edycyja téj książki wyszła w Krakowie w drukarni Łazarzowéj, roku pańskiego 1597.

4to str. 91. Skoro się to pismo ukazało na jaw, natychmiast Jezuici posłali je Turnowskiemu, tak, że pierwéj krytykę postrzegł, nim własne jego pismo do rąk mu doszło. Odebrawszy nakoniec i to ostatnie, począł pisać odpowiedź, ale inne roboty go oderwały: Jezuici, tym czasem tryumfowaniem swojém pokoju mu nie dali, rozsyłając Tworzydłową krytykę, po całéj Polszcze; o czém Turnowski dowiedział się, będąc roku 1599 w Wilnie. Powróciwszy więc do Ostroga, natychmiast całą replikę ukończył i wydrukował. Na końcu znajdują się nędzne epigrammata na Tworzydłę. Spór *de lana caprina.*

— 7. Wieczerza Ewangelicka, w obronie szafunku wieczerzy Ministrów wypisana. Przez księdza Marcina Tworzydła, proboszcza kościoła świętey Tróyce w Wilnie wydana. Przy tém odpowiedź na kontradykcyje ministrowskie. W Wilnie, Danijel Łęczycki drukował. R. p. 1594 4to (IV) str. 116. Andrzéj Chrząstowski, z powodu kazania księdza Grodzickiego, wydał pismo o wieczerzy Pańskiéj. Na to pismo jest niniejsza odpowiedź pełna obelg. O mocy dowodów sądzić nie umiémy, ponieważ nie mamy dzieła Chrząstowskiego ani Grodzickiego pod ręką.

— 8. Ewangelik X. D., Stanisława Grodzickiego S. J. 4to str. 33. Na końcu, w Wilnie, w drukarni akademickiéj S. J. Są to dwa dyalogi dosyć dobrze pisane. Rozmówcami w nich są Minister i Ewangelik. Rzecz idzie, że się niewłaściwie różnowiércy tak nazywają. Jest to mały przedmiot kontrowersyi, ale dobrze traktowany.

SPISANIE RZECZY, W TOMIKU TRZECIM ZAWARTYCH.